



SEWER.

---

# WYBÓR PISM

---

MAGDUSIA [5.12]

---

OBRAZEK MALOWANY W SŁOŃCU.

---

## PIERWSZY UTWÓR

---

NOWELA.

---

WARSZAWA.

Warszawska Drukarnia Estetyczna, Wielka 25.

Nakład „WĘDDROWCA”

—  
1902.

GENEVE  
WYBÓR PISIM

MAISON  
UNIVERSITÄT

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 1 Декабря 1902 г.



## I.



Wielki jarmark w Tuchowie, a tych wielkich jest tylko cztery do roku, wywołuje zamieszanie w całej okolicy, wywołał je i w Zalasowej.

Dzieci do szkoły nie przyszły. Jedne pognały bydło do miasta, drugie pilnowały domów, nauczyciel w odświętnym czarnym i długim surducie, z założonemi w tył rękoma przechadzał się wzdłuż klasy, zatopiony w myślach.

Otworzyły się drzwi z impetem.

— Mógłbyś też wyjść ztąd!—zawołała dziewczyna w papilotach nad czołem, w białej spódnicy i chustce włóczkowej w oczka, okrywającej białe jej ramiona i gors, wyglądający z za haftowanej koszuli. W ręku trzymała lustro, grzebień i szczotkę. Za nią w progu stanęła tłusta, uśmiechnięta wiejska dziewczyna, z wykrochmalowaną spódnicą w jednej, a popielatą suknią w drugiej ręce.

— Dlaczegoż mam wyjść?—zapytał poważnie, zatrzymując się, nauczyciel.

— Dlaczego?.. Nie widzisz, że się będę ubierała? Ewcia jak się zacznie po naszymu stroić, zawsze cały pokój zajmie i jeszcze jej mało.

— Przecież jestem twoim bratem.

— Ale jesteś i mężczyzną, a wszyscy mężczyźni jednacy.

— Gdzież się podzieję?..

— No, to już zostań, póki się nie uczeszę.

— Proszę panny, — odezwała się dziewczyna na progu, dając znać o sobie.

— Zawieś spódnicę na rogu tablicy, suknię tutaj — pokazała palcem, — i uciekaj do roboty.

Brat i siostra zostali sami.

— Moja Magdziu, cóż się tak stroisz?

— Cóż za stroje?.. Popielata ostra... Czy chcesz, aby siostra twoja z wielkiego miasta wystąpiła, jak nie wiem kto?

Brat przekonany zamilkł.

— Suknia, jak suknia, ale kapelusz—dodała Magdzia.—Oniemiejesz, jak go zobaczysz.

Ustawiła lusterko na katedrze i patrząc w nie uradowana, odkręcała z nad czoła papiloty.

— Marcyś, któż tam będzie?—rzuciła pytanie bratu po chwili pilnej pracy nad ułożeniem złotawej grzywki.

— Wszyscy — odparł brat, zatrzymując się przed katedrą, — nikogo nie zabraknie. Będą

księża, profesorowie, urzędnicy, leśniczowie, oficyaliści. I może byłoby lepiej, gdybyś wystąpiła skromnie, nie jak wielka pani.

— Co ty wiesz! — odparła lekceważąco siostra, zaplatając warkocz. — Jesteś mądra głowa, ale nie do takich rzeczy.

— Jakież to rzeczy, do których jestem głupi?

— Do podobania się.

— Ewci się jednak spodobałem,—powiedział z pewnością siebie.

Dziewczyna wzruszyła pogardliwie ramionami.

— Zrób ty taką partyę, jak ja...

— A żeby był dziesięć razy bogatszy od Ewki, myślisz, żebym poszła za chłopca?

— Niechby cię tylko taki chciał.

— Niech spróbuje, a zobaczy,—i zrobiła ruch ręką.

— Oszalałaś?.. Czyż to mnie źle z Ewcią? Cicha, dobra, gospodaruje, oszczędza, daje mi święty spokój i kocha mnie.

— Jeszczeby cię nie kochała za to, żeś sobie nią los zawiązała!—zawołała Magdzia i wyprostowała się.

— Cicho! — przerwał jej szeptem. — Jaki los Magdziu, bój się Boga! A to przecież ja biedny nauczyciel, żeniąc się z bogaczką, los zrobiłem.

— Ty?—Magdzia ujęła się pod boki.

— Ja, powtórzył,— ja, biedny nauczyciel, co żeniąc się, miałem całego majątku ten czarny surdut na grzbiecie.

Magdzia, chesząc warkocz, szarpnęła grzebieniem, że aż jej włosy zatrzeszczały.

— Marcyś, kto ciebie zaślepił?.. Ona—nikt, tylko ona! i zapomniałeś o wszystkim. A toć przecie tygodnia niema, jak się Ewunia przebrała, stanik chciała zapinać na grzbiecie, w trzewikach jeszcze do dziś chodzić nie umie.

— Więc cóż?

— Więc nic, tylko żeś ty przy niej zapomniał o swym rodzie, o familji, o księdzu bracie, o Białej, o wszystkim.

Nauczyciel rozśmiał się sucho.

— O biedzie,—powiedz wyraźnie:—o biedzie.

Magdzia odpowiedzią brata czuła się nieco dotkniętą i upokorzoną. Zacięła usta, patrzyła w lustro, układając warkocz, jako koronę po nad grzywką.

— Dobrze?—spytała.

— Pięknie,—odpowiedział Marcyś.

— A teraz to się już wynoś i przysyłaj Kaszkę, aby mi suknię zapięła.

Brat wyszedł, Magdzia patrząc w lusterko, powtarzała po cichu:—Dobry jest sobie!

I roześmiała się, pokazując duże białe zęby. Odwiązała skrzyżowaną na biodrach chustkę i rzuciła na ławkę, zdjęła z tablicy wykroch-

maloną białą spódnicę, wdziała ją, zawiązała, i uderzając rękoma, aby więcej przylegała do ciała, przeszła się parę razy, patrząc na swoje tłuściutkie nogi, zaciśnięte w prunelowe trzewiczki.

Wbiegła Kaśka. Przy jej pomocy popielata ostra, obciągnięta i zapięta, uwydatniała zaokrągloną figurkę Magdzi.

— Jak ulał—mówiła Kaśka. — Cały jarmark gębę rozdziawi, jak panienkę ujrzy... A coby nie?—taka białuśka.

— Przynosz pudło!—dała rozkaz Magdusia.

Opanowało ją przyjemne wzruszenie.

Kaśka wybiegła i wróciła z pudłem. Obie rozwiązywały sznurki w milczeniu. Kaśkę pożerała ciekawość, Magdzia podniosła wieko, zagłębiła rękę w pudle, spojrziała na Kaśkę—chwila stanowcza...

Biały, jedwabny kapelusz z długim welonem wynurzył się z pudła.

— O, o, o!—wydobyło się z piersi Kaśki.

Magdusia wlepiła wzrok w pęk zielonych piórek, zakończonych złotymi gałeczkami, zdobiących kapelusz. Chciała dmuchnąć, lecz z radości złożyć ust do dmuchnięcia nie mogła.

— Bójcie się Boga!—składając ręce, szeptała Kaśka, zapatrzona w kapelusz, jak w świętość.—Co to będzie? co to będzie?

— Niech będzie, co chce, trzymaj lusterko!



Kaśka pochwyciła lusterko, Magdzia usadowiła kapelusz na głowie, przymocowała go szpilkami i zawiązała wstążką.

— Przekonaj się, co to panna z Białej! — zdecydowała stanowczym tonem, przesuwając welon obszyty koronką przez ramię.

— Niech wiedzą! — powtórzyła Kaśka.

— Zagłupiaś ty na to, — rzekła dobrotliwie do niej Magdzia.

— Rozumie się, żem zagłupia, ale to przecież wiem, że panienka w tym kapeluszu zaćmi cały jarmark.

Magdzia podzielała opinię Kaśki. Uroczysta, dumna, pewna siebie, wyprostowana, stawiając drobne kroki, jak przystało na elegancką pannę, wyszła ze szkoły na ganek.

Czekali na nią brat i Ewcia w perkalikowej lila sukience w kratki i popielatym krepowym kapeluszu. Ewcia niedawno przebrana, nie miała odwagi wdziąć turniury, wstydziła się swych rówienniczek ze wsi, a do tego miała wątpliwość, czy potrafi godnie nosić tego rodzaju ozdobę, tem więcej, że czuła się przez matkę naturę nieźle w tym względzie uposażoną.

Mąż i żona spojrzeli na Magdusię.

— Jakże ja z taką panią będę chodziła po jarmarku? — odezwała się Ewcia, nie bez ukrytego zadowolenia.

— Potrafisz, — odpowiedziała poważnie panna z Białej.

— Ej, Magdziu! zbytki! posagu niema, odstraszyś kawalerów.

Magdusia roześmiała się tryumfująco.

— Niech tylko wędkę połknie, sznurek przywiążemy do bryczki, będzie leciał.

— Połknie nie jeden, — przyświadczyła Ewcia.

Brat protestował, lecz turkot wózka zajadającego przed ganek, zagłuszył jego wyrazy.

Para wesolych mierzynów, błyszczący mosiądz na czarnych chomątach, wózek na resorach obity niebieskiem sukniem, parobek w czerwonej czapeczce na głowie, wszystko razem dobre zrobiło wrażenie na wielkomiastrzej pannie. Kręciła z zadowolenia główką, bawiła się welonem i uśmiechała.

— Siadajcie — zakomenderował nauczyciel, — Magdziu naprzód!

— Czy to ja mam być koniecznie pierwsza? — zapytała filuternie dziewczyna.

— Jakżeś chciała? — odparł, i podprowadził ją do wózka.

Obok Magdusi siadła Ewcia, nauczyciel na koźle. Jędrak batem śmignął, konie skoczyły, jak gdyby ukropem sparzone. Kaśka stojąc we drzwiach kuchni, zazdrościła Jędrkowi, a patrzyła na kapelusz Magdzi oczarowana.

Słońce przedzierało się gwałtownie przez białe chmury, oblewając radośnie srebrnym światłem biały kapelusz. Chmury zbijały się jedne na drugie, rosły i ciemniały, rade z zazdrości lunąć deszczem na kapelusz Magdusi; lecz dziewczyna pewna swego, patrzyła z wyzywającą zuchwałością na groźną postawę chmur.

— Ej, nie zaczynajcie ze mną! — groziła im w duchu.

— Boję się, że będzie deszcz, — odezwała się Ewcia, patrząc na kapelusz Magdusi z obawą i czcią.

— Jabym mu dała! — odparła Magdzą wyzywająco.

Łagodna i nabożna Ewcia zamilkła, bała się „stawiać“ hardo deszczowi i zaczepiać go, a nie śmiała sprzeciwiać się bratowej. Męża kochała i szanowała, korzyła się przed nauką, uwielbiała jego grzeczność i delikatność. Wobec Magdusi czuła się malutką, i to ją onieśmiało.

Z góry. na którą wolno koniki wciągnęły wózek, widac było Tuchów i drogi do niego wiodące, okryte tumanami kurzu. Ruch się co chwila zwiększał, wrzawa rosła, serce Magdzi biło, wiśniowe usta Ewci układały się do uśmiechu.

— Proboszcz z Zaborowia z bratem — mijaj! — zawołał Marcys do siedzącego przy nim Jędrka.

--- Mijaj! — powtórzyła Magdzia.

Chłop podciął konie. Skoczyły naprzód, wózek warczał. Pędzili, jak wiatr. Welon kapelusza Magdusi wydał się, podobny do żagla.. Jeszcze pięćdziesiąt kroków, dwadzieścia, dziesięć— są obok bryczki, równają się.

— Bywajcie!—wołał Marcyś tryumfująco.

— Lecicie, jak opętani — krzyczy proboszcz.

— Damy pierwsze — odpowiada Magdusia, i welon rozpuszcza, zmieniając go w ogon komety.

Nauczyciel zaborowski pochwyił za kapelusz, Ewcia skłoniła się proboszczowi. Twarze na obu wózkach były rozpromienione i śmiejące się głośno, radośnie.

Koniki Marcysia wysunęły się naprzód—nauczyciel spojrział raz jeszcze na siostrę i mrugnął. Magdzia się obejrzała raz, ale dobrze.

— Dosyć ma—szepnęła w duchu, i poprawiła kapelusz, zagłębiając wzrok ciekawie w rynek, rojący się od tłumu ludzi, przepelniony wrzawą, z pośród której, jak race, wylatywały przekleństwa i śmiechy.

— Są wszyscy?—spytała Ewcia męża.

— Nikogo nie brakuje — odpowiedział radośnie.

Konie wjeżdżając do miasta, zwolniły, przechodząc z truchta w poważny stęp, mijając wozy, zwierzęta i ludzi.

— Hej! na bok! z drogi! ustąp! — wołali jednocześnie Marcyś i Jędrek. Ewcia i Magdusia

były oszołomione tłumem ludzi i najróżnorodniejszą, ogłuszającą wrzawą.

— Gdzież wysiadziecie?—spytał Marcys.

— Jak zawsze, u Flaszkiwicza, tam się roz-  
tasujemy, — odpowiedziała Ewcia. A że to, co  
mówiła, było dla Marcysia świętem, zajechali  
przed Flaszkiwicza, jedyny w mieście sklep  
i jedyną restauracją, goszczącą u siebie czoło  
miasta i okolicy.

Przed sklepem stało trzech oficerów. Palili  
długie cygara, mając za uszami pozatykane słom-  
ki, wyciągnięte ze środka cygar. Magdusia od  
jednego rzutu oka dostrzegła słomki za uszami  
oficerskimi i uszanowała ten rodzaj szyku,

Zdaje się, że nawzajem oficerowie ocenili je-  
dwabny kapelusz Magdusi i jej długi welon, gdyż  
patrzając, szeptali z sobą i uśmiechali się, co onie-  
śmieliło Ewcię, a w dobry humor wprowadziło  
jej bratową. Magdusia wysiadłszy z wózka,  
przeszła tryumfująca. Za nią postępowała zaru-  
mieniona Ewcia, a Marcys poważny, spokojny  
kłaniał się grzecznie reprezentantom armii.

— Kto jest ta dama w białym kapeluszu?—  
zaczepił go nadporucznik po niemiecku.

— Moja siostra—odpowiedział Marcys skro-  
mnie.

— Siostra?.. Winszuję panu siostry.

— Marcys się skłonił i odszedł, oficerowie za-  
częli śmiać się głośno i grubo z wielkiego dowci-

pu nadporucznika, powtarzając: Winszuję panu siostry, ha — ha — ha!...

Tymczasem w prywatnym pokoju Flaszkiwiczów, gdyż z nauczycielami była zażyłość, roztaśowały się Ewcia z Magdusią.

Marcyś przedstawił siostrę. Flaszkiwicz mały krępy, tusty, o świecącej okrągłej twarzy, kłaniał się, uśmiechał i ręce zacierał. Flaszkiwiczowa wysoka i szczupła, córka aptekarza z Dynowa, która jedynie tylko oddała rękę Flaszkiwiczowi dlatego, że aptekarz miał pięć córek, a ona cztery siostry—zazdrosnem okiem spoglądała na kapelusz Magdusi.

— Jeżeli siostry nauczycieli wiejskich będą nosiły białe materyalne kapelusze, o piórach zakończonych złotymi gałkami, to nam córkom aptekarzy co pozostanie kłaść na głowy? Aksamity?... Chyba mało...—powiedziała sobie w duchu bardzo poważnie.

— Czy to moda w Białej przyczepiać do kapeluszy długie poza kolana welony?

— Nie wiem—odpowiedziała Magdusia, strojąc skromną minkę; — kapelusz ten pochodzi z Wiednia.

— Sądze, że panna Magdalena...—powiedziała to głośno i urwała, a w duchu dodała: — nie jest tyle głupią, aby kapelusze sprowadzać z Wiednia.

— Co pani sądzi? — spytała Magdzia.

— Że go panna nie sama przecie sprowadziła.

— Siostra stryjeczna na moje imieniny przywizła go.

Nastało milczenie. Magdusia odgadła zazdrość nurtującą w sercu jednej z pięciu córek aptekarza z Dynowa, której zawistny los kazał zostać Flaszkiwiczową.

Wszedł Jędrak i trzymał w ręku koszyk.

— Parę kogutków—rzekła serdecznie Ewunia, podając Flaszkiwiczowej koszyk.

Zimny wyraz twarzy córki aptekarza ocieplił się, a gdy zważyła ciężkość koszyka, rozjaśnił. Domyslała się, że Ewunia ofiarami stara się podtrzymać jej względy i łaskawość. Traktowała wprawdzie z wysokiego tonu przebraną chłopkę, lecz wysoki ton łagodziła pewną poufałością i życzliwością. Po zwykłych ceremonjach z jednej strony drożenia się, z drugiej prośb, Flaszkiwiczowa weszła do kuchni z koszykiem. Flaszkiwicz tymczasem z trzema chłopcami pracował w sklepie.

Nauczyciel zbliżył się do siostry.

— Narobiłaś sobie tym kapeluszem,—szepnął.

Magdzia spojrzała wyzywająco.

— Flaszkiwiczowa zazdrości, a ona ma język.

— Cóż mnie do jej języka? — wzruszyła ramionami.

— Oficer wieszował mi siostry. Potrzebne to?

— Podziękowałaś mu?

— Podziękowałem.

— To się ciesz teraz.

— Ej, Magdziul...

— Ej, Marcys!...

Roześmieli się oboje.

— Czy ty myślisz, że to koniec z kapeluszem? Przysięgam ci, że dopiero początek. Zobaczysz, co będzie dalej — oświadczyła rozpromieniona Magdzia.

— Stało się—rzekła Ewcia a jako praktyczna kobieta dodała:—Marcys, pomyśl o śniadaniu; głodnieśmy, jak niebozkie stworzenia.

Marcys poszedł do sklepu.

— Flaszkiwiczowa zieleniała, patrząc na mój kapelusz,—szepnęła Magdzia do Ewci.—A niech zielenieje!

Ewcia potakiwała głową, lecz się nie odzywała z obawy, że może Flaszkiwiczowa podsłuchiwać.

Powrócił Marcys, niosąc w jednej ręce trzy kufle piwa, w drugiej talerz przybrany szynką i rogakami.

Twarze się rozpromieniły na widok piwa okrytego białą, jak puch, pianką. Zasiedli za stołem, jedli szynkę i popijali piwem.

— Cóż, ani proboszcza ani nauczyciela z Zaborowia? — zagadnęła zniecierpliwiona Magdzia.

— Zaborów źle z Flaszkiwiczami, staje u Naganieckiego, lecz tu jada—szepnął Marcys, gro-



żać na nosie i pokazując palcem na drzwi od kuchni, w których znikła Flaszkiwiczowa. — Bądź spokojna, będą tu wszyscy w południe.

— Śpieszmy się i my—odezwała się Ewcia.— Radabym kupić dwoję prosiąt i jeżeli się uda jałówkę.

Porwali się z miejsc.

— Magduś, weź mój kapelusz—radziła Ewcia, a ja okryję głowę chusteczką. W takim kapeluszu chodzić do prosiąt ubliżałoby ci.

— Zaręczam, żeby ci ubliżało, — powtórzył Marcys.

— I ludzie by się śmieli—dodała Ewcia.

Ostatni argument przekonał Magdusię. Rozłożyła na łóżku kapelusz, welon rozpostarła, wdziała na głowę popielaty Ewci, i wyszli razem.

— Dwoję prosiąt i jałówka to sprawunek nie-lada — mówił nauczyciel, — jest nad czem popracować.

— Wiesz co Marcys, ty nie jesteś do targu. Idź sobie do przyjaciół, a nas zostaw same — prosiła go Ewcia. — Bo widzisz, że jeżeli czego baby nie wytargują, to chłop nigdy. Prawda?— zwróciła się z pytaniem do Magdusi.

— Prawda — poświadczyła Magduś.

Marcys naprzód Ewcię, potem Magdzię pocałował w usta, skłonił się z elegancją kapeluszem i odszedł.

Flaszkiwiczowa wróciwszy z kuchni do poko-

ju, zobaczyła kapelusz Magdusi, leżący na swem łóżku z rozpostartym welonem.

— Ubliżać sobie nie dam nigdy! — rzekła z mocą. — A żebyś ty brata, nie tylko proboszczem ale biskupem miała, rozkładać się z kapeluszami na mem łóżku nie pozwolę.

Pochwyciła kapelusz, zaniósła go do pierwszego pokoju przepelnionego tłumem ludzi, i zawiesiła na kołku.

— Ja ciebie bielska mieszcanko, nauczę. Co innego Ewcia: pokorna, łasi się i przypoehlepia. Ciężki mój los!...

Tu Flaszkiwiczowa westchnęła.

Jakby na poświadczenie ciężkiego losu córki aptekarzy z Dynowa, ukazała się we drzwiach głowa wynurzająca się z poza granatowego płaszcza o szerokim kołnierzu i długiej pelerynie. Głowa ta zaczęła mrugać i ściągać gniewnie brwi.

— Pani! — pani!...

Flaszkiwiczowa udała, że nie słyszy.

— Szynkarko! — zawołała obrażona głowa. — Cóż to? nie mogę się doprosić szklanki piwa za własne pieniądze?

Córka aptekarza zbladła. Pierwszy raz usłyszała słowo „szynkarka“, zastosowany wprost do niej. Odwróciła się do głowy w granatowym płaszczu, wskazała ręką pierwszy pokój, następ-

Magdusia.

nie tą samą ręką zasłoniła twarz i pełna majestatycznej boleści poszła do kuchni.

— Któż to jest ta panna w tym pięknym kapeluszu? — zagadnął Marcysia po przywitaniu nauczyciel z Zaborowia.

— Nie wiesz?... Moja siostra; przyjechała parę dni temu z Białej.

— Ładna... Chodźmy na szklanekę piwa do Naganieckiego.

Naganiecki w pantoflach, białej koszuli i pantalonach spiętych szelkami haftowanymi włóczką, tłusty i czerwony, postawił dwa kufle piwa przed nauczycielami, przywitał ich ścisnieniem rąk i zaśmiał się wesoło.

— Pan Marcin rzadki gość, z Flaszkiwicami trzyma—arystokracja?! Ja tam nie dmę, ani się puszę. Ojciec mej żony nie robił pigulek... Mieszczanin z dziada pradziada, osiadły na roli, i kwita, a nie bawi się w pana; żona moja nie miewa pańskich mdłości.

— Józiu!—zawołała Naganiecka na męża.

Józio się odwrócił i pobiegł do żony, nie cierpiącej na pańskie mdłości; przyjaciele zostali sami.

Nauczyciel zaborowski trącił o kufel Marcysia i obaj wypili parę łyków.

— Wiesz, kolego, twoja siostra bardzo mi się podobała.

Marcys się trumfująco rozśmiał.

— Widziałeś ją?...

— Wybornie. Ożeniłbym się z nią zaraz, lecz cóż?

— Co? co takiego?—podchwycił niespokojnie Marcys.

— Tylko że ona za wielka pani dla mnie, nie będzie mnie chciała, a ja nie myślę się błaźnić.

— Dla czegożby cię nie miała chcieć?

— Albo ja wiem! Pani, wystrojona jak hrabianka. Na kapelusz, jaki dziś ma, to ledwo stać dziewczkę. A ładnie jej było, gdy welon rozdymał wiatr. Szkoda, że wielka pani.

Tręcili się i wysęczyli je do dna.

Nauczyciel zaborowski uderzył w stół, nadbiegła dziewczyna bosą, pochwyciła kufelki i przyniosła je wypełnione piwem.

— Za twojej siostry zdrowie!—zawołał nauczyciel zaborowski.

Tręcili się, upijając do połowy.

— Spróbuj i zakręć się koło dziewczyny, — zachęcał kolegę Marcys.

— Próbować i wystawić się na kpa, jeżeli nie zechce!... Nasze kawalerskie!...

Tręcili się, wypijając odrazu piwo.

Marcys gwałtownie zastukał, dziewczyna przyniosła świeże kipiące pianą kufle.

— Mówię ci: spróbuj! śmiało, śmiało!

— A jak pokaże drzwi?

— Po co ma pokazywać!

— Jakże tej pani na imię?

— Magdalena.

— Panny Magdaleny zdrowie!

Marcyś wychylił odrazu, nauczyciel zaborowski wysączył piwo do dna, kufel odjął od ust, i przychylił go nad paznokciem wielkiego palca, pokazując, że ani kropelki nie zostało.

— Tak się pije panięskie zdrowie,—oświadczył.

Zaszumiało kolegom w głowach. Marcyś zrobił się różowy, oczy jego zwykle łagodne nabrały blasku.

— Nie bój się—szeptał do ucha przyjacielowi.—Dziewczyna biedna, nie ma posagu, a że się stroi, to zwyczajnie jak każda panna z dużego miasta. Biała wielkie miasto, kamienice dwupiętrowe, sklepy, urzędniki, kupcy fabrykanty...

— Biedna, a za cóż się stroi?

— Pracowita, w fabryce sukna wyszywa na każdej sztuce numer i nazwisko fabrykanta. Na tydzień zarabia cztery papierki, czasem więcej. W domu ma wszystko, na stroje jej wystarcza.

Marcyś prawił, a kolega podparłszy głowę na rękę, słuchał rozmarzony piwem, zatopiony w myślach.

— To i tak nie będzie mnie chciała,—zawołał.—Sama zarabia dwieście papierków, a ja pensyi mam trzysta?!...

— No, no, nie żartuj!—Marcyś zaczął go kle-

pać protekcyjonalnie po ramieniu.—A mieszkanie w szkole i ogród? A trzy morgi gruntu, co ci ojciec kupił? a cztery krowy, wieprzek w chlewie i rodzony brat księdzem? Tyś bogacz, potrzeba ci tylko dobrej gospodyni. Magdusia...

— Za wielka pani nie będzie mnie chciała, — zawołał nauczyciel zaborowski, łamiąc rozpaczliwie ręce.

Postać jego nadawała się do obrazu rozpaczliwego dramatu. Chudy i płaski, a szeroki w ramionach, cera popielata, nos duży, włosy płowe. Usta miał szerokie, lecz wąskie oczy małe umieszczone głęboko.

— Jeszcze po jednym kufelku, Franek, co?

Zrozpaczony Franek nie odpowiadał. Marcys zasztukał.

Za chwilę przyjaciele tręcili się; biała pianka na piwie tryskała i nikła.

— Słuchaj! — po piątym kufle Marcys nabral stanowczości i odwagi, — słuchaj, od dziś za tydzień oświadczysz się; od dziś za miesiąc wesele. A jeżeli od dziś za rok nie będzie syn, to cię nazwę kpem.

Franek zerwał się ze stolka, koledzy rzucili się w objęcia.

Naganiński ukazał się we drzwiach. Twarz jego okrągła i czerwona, jak wschodzący księżyc, zaśmiała się filuternie.

— Miło spojrzeć — mówił spokojnie, — kiedy sobie panowie nauczyciele świadczą. U Naganieckiego piwo wyśmienite, zimne, a mocne. Ja nie Flaszkiwicz, co do każdej beczki leje konewkę wody. Ale za to moja baba nie chodzi w tyftkach.

— Józiu—zawołała pani Naganiecka,—proszę cię, stul buzię. Mało masz tych plotek? mało ci one sadła za skórę zalały?

— I cóż mi zrobiły? Co mi zrobił Flaszkiwicz? — Naganiecki rozszerzył nozdrza, wargi wywinał, podkasał rękawy u koszuli i ujął się pod boki. — Niech on tu przyjdzie ja nie żaden arystokrata, a moja baba nie ciągnie urzędników, oficerów i *profesurów*.

Nauczyciele umknęli.

Przyjaciele stanęli na rynku.

— Cóż?—spytał Franek Marcysia.

— Chodźmy do nich.

— Nie śmiem. Człowiek ma trochę w czubie.

— Przecież na jarmarku jesteś. Chodź, chodź!

Marcys ujął pod ramię przyjaciela, i ożywiony, pełen dobrych myśli, prowadził go do Flaszkiwicza.

Przecisnęli się przez sklep natłoczony ludem, W trzecim pokoju, a był to pokój sypialny „państwa“ Flaszkiwiczów, za stołem ustawionym

na środku rozsiadło się „towarzystwo“. Dwóch leśniczych z zielonemi klapkami u kołnierzy, zahaftowanemi złotem, rządca ze Straszęcina, właściciel folwarku, inżynier, proboszcz z Zabórowia, Ewcia i Magdusia.

— Franuś! — zawołał proboszcz na widok wchodzących przyjaciół, — zastępuję cię przy panie Magdalenie, jak mogę, ale mi jakoś nie idzie. Co spojrzę, to głupieję.

Towarzystwo zaśmiało się chórem. Śmiała się i rozpromieniona Magdusia. Córka aptekarza z Dynowa wzruszyła ramionami, patrząc melancholijnie i uśmiechając się z rezygnacją ofiary.

Zarumieniony Franuś pocałował Ewcię w rękę po raz pierwszy od czasu znajomości, i tem sobie ją zjednał. Skłonił się niezgrabnie Magdusi, chciał coś powiedzieć, lecz nie wiedział co, i cofnął się ku Marcysiowi.

Inżynier począł rozlewać wino w kieliszki.

— Już na to niema ratunku — powtarzał, — musimy wypić zdrowie naszego gościa, naszego kochanego, pięknego gościa — dodał, spoglądając na Magdusię. — Panowie! pięknej panny Magdaleny, siostry Marcysia zdrowie! Niech już od nas nie ucieka, niech tu zostanie, tego sobie życzymy!

Powstali wszyscy, trącając kieliszkami o kieliszek Magdusi.



Wniesione zdrowie zrobiło wrażenie. Inżynier uchodził w okolicy za birbanta i wielkiego znawcę kobiet.

Korzystając z ogólnej wrzawy, szepnął leśniczy do kolegi:

-- Inżynier nie chciałby się zbłaźnić. Gdyby ta panna nie była piękną, nie pisnąłby ani słówka.

— Prawda, panna ta musi być piękną. Suń się!

-- Suń, z płótnem w kieszeni.

— Brat jej proboszcz, wpakuje cię do skarbu.

Obadwaj roześmieli się na wspomnienie posady w skarbie. Leśniczy kawaler, spojrzął na Magdusię łakomie. Magdzia również spojrziała na niego, a patrzeć umiała.

Proboszcz zborowski nie dał się zawstydzic inżynierowi; kazał również podać dwie butelki wina.

— Zdrowie kochanej gosposi!—zawołał, a żony naszego Marcysia.

Do pokoju weszło trzech oficerów poprzedzanych przez uśmiechniętego i kłaniającego się Flaszkiwicza. Czekał na nich nakryty do obiadu stolik przy oknie.

Inżynier przywitał głośno oficerów, siłąc się na poufałość. Dwaj leśniczowie, którzy w wojsku dobili się stopni kaprali, cofnęli się wyprostowani do pieca. Marcys stracił na swobodzie;

Ewunia zrobiła wystraszone - pokorną minkę; proboszcz udawał, że sobie nic z wojskowych nie robi; Magdzia spojrzała tak, jak zwykle patrzy panny w Białej na reprezentantów armii, a Flaszkiwiczowa przyglądziwszy w kuchni ręką włosy, otrzepała spódniczkę, i poprzedzona przez dziewczynę niosącą wazę z rosółem, weszła.

Chcąc zaimponować i upokorzyć towarzystwo, zaczęła się witać z oficerami po niemiecku. Reprezentanci armii, odpowiadając konceptami, grubo się śmieli. Magdzia, panna z Białej, znała wybornie język niemiecki, nabrała odwagi, dorzucając w gwarze rozmowy jedno tylko zdanie.

Odezwanie się dziewczyny po niemiecku zrobiło w armii wrażenie. Magdzia odrazu staje się panią położenia. Flaszkiwiczowa po raz drugi musi ustąpić. Armia przez swych reprezentantów grubo się śmieje i wybornie bawi. Strzały padają z dwóch stron. Marcyś niezadowolony milczał.

Obiad się skończył, rozmowa wyczerpała, armia wyszła.

Odetchnęli wszyscy; Magdusia jawnie tryumfowała, patrząc dumnie po zgromadzonych. Czas odjazdu się zbliżał; gorąco było w sypialnym pokoju pani Flaszkiwiczowej; znużenie opanowywało damy; trudno było utrzymać rozmowę w jej poprzedniem ożywieniu i błyskach dowcipu.

Powoli zaczęto przenosić się przed sklep pana Flaszkiwicza, z kąd z dachu padał przyjemny cień, a widok na rynek miłą sprawiał rozrywkę.

Magdusia wdziała swój biały, jedwabny kapelusz, welon zarzuciła majestatycznie, i rozmawiając wesoło z inżynierem, po jakimś czasie wyszła.

Franuś trzymał się Marcysia, był smutny i zamysłony. Po rozmowie z oficerami i powtórnym ukazaniu się jedwabnego kapelusza z welonem, znowu stracił nadzieję.

— Za wielka pani — szepnął do Marcysia, pokazując oczyma Magdusię.

— To nic—odpowiedział mu brat, — trzymaj się i naprzód śmiało!

Rynek się przerzedzał, kramy zwijane znikwały jedno po drugim, lud się rozchodził, zaczęły się tworzyć puste place. Od strony magistratu i biura poborcy podatków, wysunęła się para: on mały, o kręconych włosach; ona wysoka. Materyalna jej suknia długa, majestatycznie ciągnęła się za nią.

— Patrzajcie, idą! — odezwał się właściciel folwarku. — Franczykowski, leśniczy ze skarbu, ona Jaworska z domu, siostra rządcy hrabiego z Przeclawia, nie wie, co już ma z tej arystokracji robić. Ciągnie za sobą suknię po rynku, wdziała niebieskie okulary i prowadzi się z mę-

żem pod rękę. Wyszli umyślnie, aby nam imponować i upokorzyć nas!

— Umyślnie?—spytała, namyślając się, Magdzia.

— Zawsze się to samo po każdym jarmarku powtarza. Pani Franczykowska w niebieskich okularach musi zamiatać rynek. I jest pewną, że my jej to zazdrościmy, — powiedział inżynier, i roześmiał się, a towarzystwo mu zawtórowało.

— Marcys, podaj mi rękę,—zwróciła się Magdzia do brata, zarzucając welon na plecy. — Na drugiej stronie rynku jest sklepik z perkalikami; zaprowadź mnie tam. Nie czekając na odpowiedź brata, wzięła go pod ramię i odwracając się do towarzystwa, uśmiechnięta, zawołała:

— Do widzenia!

Zarazem przesywała wzrokiem Franka.

— Do widzenia! — powtórzyło chórem towarzystwo.

Magdusia z Marcysiem szła wprost na Franczykowskich. Wprawdzie Magdusia miała tylko ostrą sukienkę, lecz zrobioną modnie, i prosto, się trzymała. Wiatr zlekka powiewał, unosząc welon, jak ogon komety. Biały kapelusz kąpał się w słońcu, a zielone pióra zdobne w złote gałki błyszczały.

— Wybornie, doskonale!—zawołał proboszcz. —Zrozumiałem pannę Magdalenę. Ha, ha! patrzmy!...

Patrzyli w milczeniu, ciekawie wzrok wyteżając. Magdusia zręcznie kierując Marcysiem, przecięła drogę Franczykowskim tak blisko, że welon kapelusza musnął po twarzy siostrę rządcy z Przeclawia.

Małżonkowie stanęli, Franczykowska zmrużyła oczy, drobną wargę wysunęła naprzód, wzruszyła ramionami i zawróciła z mężem.

Gromadka stojąca przed sklepem Flaszkiewicza nie dostrzegła zmrużeń oczu poza niebieskimi okularami i grymasu ust, lecz widziała energiczny zwrot pani Franczykowskiej, i wybuchnęła śmiechem wesołym tak głośnym, że aż wpadł do uszu siostry Jaworskiego.

— Czego oni się śmieją? — zapytała męża.

— Bawią się; możeby wypadło zajrzeć i wypić szklaneczkę.

— Mnie będziesz wodził po handlach!..

— Jest tam proboszcz.

— Niech ich będzie stu, a nie namówisz mnie. Jeżeliś się ze mną ożenił, to już cierp. Co to za jedna w tym kapeluszu z welonem? Obejrzyj się!

Franczykowski się obejrzał.

— Siostra nauczyciela z Zalasowej.

— Siostra nauczyciela w takim kapeluszu... Ach, jakaż ona głupia!..

— Jeżeli go ma... — zdobył się na uwagę Franczykowski.

— Właśnie dla tego głupia, że go ma i że go nosi. Lecz ty tego nie rozumiesz i nie odzywaj się.

Franczykowski wierzył, że siostra Jaworskiego rozumie to, czego on nigdy nie zrozumie, i milczał poważnie.

— A to jej panna Magdalena utarła nosa!— zawołał proboszcz.

I znowu wybuchy śmiechu rozległy się po rynku, wpadając do sklepu, w którym Magdusia tryumfowała z odniesionego zwycięstwa.

Proboszcz mrugnął na Franusia, przyzwał go do siebie i szepnął:

— Idź, pożegnaj się z Marcysiem i jego siostrą — jedziemy.

Franuś szedł wolno, a dla rozrywki i dodania sobie odwagi, wywijał kijem. Zobaczył go Marcys, zbliżył się do siostry, mówiąc:

— Nauczyciel! z Zaborowia prosił mnie o twą rękę. Idzie tutaj.

Magdusia widziała go, gdy tylko oderwał się od gromadki, domyśliła się wszystkiego, nie patrząc na zbliżającego się, odpowiedziała bratu:

— A co kapelusz? Nie chciałeś, żebym go dziś wdziała?

— Proszę cię, bądź grzeczna dla Franusia. Mówił mi, że jesteś dla niego za wielka pani, że masz taki wspaniały kapelusz, i dlatego pewno go nie zechcesz.

— To lepiej, że tak mówił, bo mnie będzie szanował i bał się...—Teraz się dopiero obejrzała.— Ten twój Franuś płaski jak deska, tylko mu na bladej twarzy duży nos sterczy. Płowy... oczy, jak szparki...

— Cicho — przerwał szybko Marcys. — Chłopak dobry, pensyi trzysta, dodatku pięćdziesiąt, cztery morgi własnego gruntu i brat proboszcz.

— Żeby był jakiś inny...

— Cicho, bo usłyszysz...

— Dla takiej *rarytnej* panny, to prawie dziedzie...—rzekła właścicielka sklepu.

— Niech jej Ryfka głowy nie zawraca—ofuknął żydówkę Marcys.

— Co ja mam zawracać? Za mądra to głowa do zawracania.—A zbliżając się do Magdzi, spytała:—Przepraszam panienkę, zkad ten kapelusz? Nie z Krakowa?

— Z Wiednia,—odpowiedziała Magdzia skromnie.

— Zaraz sobie pomyślałam, że z Wiednia.

Wszedł Franuś.

— Przyszedłem po pannę Magdalenę,—odezwał się nieśmiało.

— Cóż to już mnie pan chcesz zabrać?—odparła rezolutnie Magdzia.

Żydówka zaczęła się śmiać, Marcys za nią, Franek spłonął jak piwonia.

— Taki rarytas nawet ukraść nie grzech, — zawołała Ryfka.

— Ukraść i zawieźć wprost do Zaborowia, — nabierając odwagi, przemówił Franek. — Jegomość ustąpi miejsca na wózku.

— Jegomość nie może zostać — rzekła Ryfka, — on będzie tam bardzo potrzebny — bez niego nic...

— Moja Ryfko, bardzo was proszę, nie psujcie mi siostry, — zaklinał Marcyś.

Magdzia nie śmiała po takich komplementach targować się; zapłaciła za perkalik na fartuszek, co sama żydówka chciała. Franek schwycił paczkę, Magdzia podała rękę bratu, rozpuściła welon — poszli. Teraz już ona jedna królowała na rynku.

Z przed sklepu Flaszkiwicza wybiegały wesołe głosy przy akompaniamencie grubego śmiechu zaborowskiego proboszcza. Mężczyźni trzymali kufle piwa w rękach. Nawet Flaszkiwicz, po obliczeniu kasy, pozwolił sobie na zbytek jednego kufelka.

Magdusia z bratem i Frankiem zbliżała się. Serce jej biło, na twarz wystąpiły rumieńce radości. Chciała być poważną, lecz mimo woli kąciki jej ust drżały uśmiechem.

— Wiwat pana Magdalena! — wołał inżynier wielki znawca kobiet.

— Wiwat! — powtórzył chór mężczyzn, wznosząc kufle w górę.



Leśniczowie śmieli się uszczęśliwieni. Marcyś był wzruszony do tego stopnia, że aż nieco zbladł. Nauczyciel zaborowski dumnie patrzył. Panowie, przyszej jego żony, jak miał nadzieję, wznoszą zdrowie na rynku. Tego honoru żadna z panien w okolicy nie dostąpiła.

Tu pan Flaszkiwicz pochylił się, i naśladowując ruchy żony, jako wielkiej damy, drobne kroczki stawiał i kręcił tułowiem.

— Ej stary, stary! — strofowała męża Flaszkiwiczowa, nie mogąc pokonać śmiechu.

— Witam jaśnie panią! — zahuczał głosem Naganieckiego. — Jasna pani, jasna pani do nas — kamloty, bareże, atłasy...

— A tymczasem Bączalka wpadnie w ręce żydów! — przerwała żona.

— Daj-no pokój! szlachcic dyszy, bokami robi, ale pięć lat jeszcze wytrzyma. A choćby o rok prędzej, to i my rok skrócimy. Jaśnie wielmożna Natalia Flaszkiwiczowa, z domu Buśnicka, dziedziczka Bączalki z przyległościami...

— Jakie przyległości?

— Takie, jakie przylegają do figurki pani Flaszkiwiczowej.

— Mąż zaśmiał się serdecznie.

— Stary, w jakim ty jesteś dziś humorzel

— Moje dziecko, jakże nie mam być w humorze? Biedacy...

— Cicho! — przerwała żona.

— Biedacy! — powtórzył szeptem Flaszkiwicz.—Ja miałem tysiąc papierków; ty, chociaż córka aptekarza z Dynowa...

— Wiem, wiem!

— Nędznych pięć stówek. A dziś—dziś...

— Cicho!..

— A grymasiłaś, zachciewało ci się adjunkta, z góry patrzyłaś na Flaszkiwicza, pomiatałaś nim. Dzisiaj cóż adjunkt?.. Jasna pani, gwałt, rety, rarytas. Aj waj, aj waj!.. Wracamy, a panowie oficerzy na koniach przy powozie, a jasna pani puszy się, dmie, nos zadziera w górę, na Naganieckiego nie patrzy, Franczykowskiej się nie kłania.

— Wiesz? Franczykowska ledwo mi głowę kiwnęła.

— Będzie ona biła głowę o ziemię.

Flaszkiwicz ręce zacierał, śmiał się, oczy mrużył, pochylił się i chodząc po pokoju, tułowiem kręcił.

W ten sposób zabawiali się małżonkowie Flaszkiwiczowie po każdym pomyslnym jarmarku. Marzyli głośno, puszczając wodze fantazyi.

## II.



gościnnej izbie świeżo wybielonego pokoju, tuż obok klasy, siedziały Ewcia i Magdusia na kanapie. Marcys chodzi nerwowo po pokoju, gestykułuje rękoma, i mówi. Raptem staje przed Magdusią.

— No i cóż?

— Taki brzydki!—odpowiedziała cicho Magdzia,—płowy, blade. Wąsienki żółte, nos sterczy na płaskiej twarzy.

— Co tobie do jego nosa i płaskiej twarzy? Dziewczyna uboga, taka jak ty, nie ma prawa patrzeć na nos i płaską twarz kawalera.

— A na cóż mam prawo patrzeć? — spytała filuternie.

— Na pozycyą.

— Marcys, daj-no pokój — uspakajała męża Ewcia; a zwracając się do Magdusi, rzekła poważnie:

— Pan Franciszek nie jest brzydki. Rosły,

barczysty, włosy ma gęste, zęby zdrowe. Pogrymasisz, moja Magdusiu, bo jakże takiej panie, jak ty, nie grymasić? ale pójdiesz. Będziemy sobie radzili i w gospodarstwie pomagali.

Magdusia nie odpowiadając, wpatrywała się w nogę okrytą prunelowym trzewikiem, wychylającą się z po za białej spódniczki.

Gospodarstwo ją nęciło; była dość praktyczną, więc podzielała zdanie brata; lecz również miała ochotę grymasić i zwlekać... Biały, jedwabny kapelusz, welon, zwycięstwo na jarmarku, szepotały jej: „Zwlekaj!”

— Jeżeli Magdusia — zaczęła po chwili Ewcia; — na jednym jarmarku takie szczęście znalazła...

— Będę ją po jarmarkach obwoził jak jaką jałówkę! — zawołał Marcys. — I ty zaczynasz mieć pstro w głowie. Prawda, święta prawda, że wszystkie baby na jedno kopyto zrobione.

Kobiety się roześmiały.

— A wy na jakie? — spytała Magdzia.

— No, i kłóćcież się teraz o kopyta, na jakie wy, a na jakie my? a o interesie nic. Niechże pannę okrzyczą, że szukając męża, z jarmarku na jarmark się włóczy — karyera skończona. Kto na nią spojrzy? Franek pierwszy się odwróci.

— Ty bo zaraz jakieś wielkie rzeczy widzisz. Nauczyciel zaborowski nie jest jeden na świecie. Magdzia może się podrożyć i poczekać.

Magdusia z wdzięcznością pocałowała w usta Ewcię.

— Baba za babą w piekło wleci! — zawołał rozdrażniony Marcys.— Niema rady, tylko sprowadzić księdza brata, sprawę skończyć, dać na zapowiedzi i basta.

Magdzia się roześmiała. Zapowiedzi dobrze podziałały na jej usposobienie.

— Zobaczymy,—odpowiedziała fluternie.

— Przekonasz się,—zawołał Marcys.

— Wszyscy chłopci w gorącej wodzie kąpani, i zawsze im pilno,—zawyrokowała Ewcia.

Magdzia zaczęła słę głośno śmiać. Marcys obrażony pogroził im i wyszedł.

— Chyba byłabyś głupia moja Magdziu, żebyś się nie drożyła. Ja się nie drożyłam, a teraz przewodzi nademną.

— Ej, gdzietam przewodzi! robisz z nim, co chcesz.

Ewci radością zaświeciły oczy, chociaż udawała smutną.

— Wiesz co Magduś? Marcys dobrze mówi— nauczyciel zaborowski to partya. Ale przecież i ty coś znaczysz. Na jarmarku byłaś pierwsza. Inżynier, mówią wszyscy, zna się na kobietach, i panowie oficerzy oddali ci sprawiedliwość.

Magdusia podzielała zdanie Ewci i nie przeczyła. Podparła głowę ręką, oczy w jeden punkt utkwiała.

— Wiem, że to partya—szepnęła;—lecz cóż, kiedy nie mam do niego pociągu.

— O to się nie bój—odparła żywo Ewcia;—nabierzesz, tylko się bliżej poznacie. Człowiek dobry, stateczny, gospodarny. Trochę może nieśmiały, ale się w tydzień ośmieli. Jaka ja byłam nieśmiała względem Marcysia, a przecież dziś umiem sobie radzić.

— Ja go ośmielę—zawołała Magdusia,—i nauczę, jak się znajdować ma wśród ludzi.

— Więc o cóż idzie?

— Chudy, płowy, nie mam do niego serca.

— Ja bo do Marcysia odrazu, gdym go tylko ujrzała, serce powzięłam. Stałam w oknie chaty, on przechodził, spojrział na mnie, uciekłam. Potem nie wiem jak, spotkaliśmy się na drodze. Późdrowił mię, odpowiedziałam, i znowu uciekłam. Z kościoła wracaliśmy razem, a po niesporach przyszedł do chaty i gwarzył z tatusiem. Odchodząc, chciał mię pocałować w rękę... do komory wpadłam. A potem we trzy tygodnie zapowiedzi i nie wiem sama, jak się znalazłam we szkole. Ale co innego ja, wiejska dziewczyna—dodała skromnie,—a co innego ty, moja Magduś.

Magdusia powtarzała w duchu:

— Prawda, ja co innego, mnie nie tak łatwo do szkoły wprowadzić... Płowy, płaski, chudy!.. Przyzwyczaić, przyzwyczaiłabym się, ale przecie trzeba się podrożyć. Żeby to był brunet i nie

taki chudy, możebym się nie drożyła. A może się trafi lepsza partya?

Zdawało się Magdusi, że wyrazy te ktoś jej szepnął do ucha. Obejrzała się raptownie, nikogo, prócz Ewci, tylko łodygi winorośli poruszane wiatrem, uderzały łagodnie o szyby okna.

— A nuż?—powtórzyła.

Kapelusz, welon, ostra, inżynier, oficerowie, jej przytomność, gniew Flaszkiwiczowej, zachwyty Ryfki, pochód przez rynek, nieśmiałość Franka... wrażenia te zlewały się w jeden obraz zwycięstwa, chwały, wielkości. Magdusia pierwszy raz naprawdę uwierzyła w swoją piękność i siłę swych uroków. Myśl o tem upajała ją. Rozwarła nieco nozdrza, usta na pół odchyliła, wpadając w zachwyty i zadumę. Pierś jej od głębokich westchnień wznosiła się miarowo.

Ewcia, nie przeczuwając upojeń dziewczyny, patrzyła na nią zdziwiona.

— Magduś, co ci jest?

— Nic, nic!—odpowiedziała, przychodząc do siebie. — Gorąco... zmęczyłam się... Mówisz, że trzeba się drożyć?

— Trzeba, trzeba! Taka panna, jak ty, nawet musi. Inaczej myślałby, że ci łaskę zrobił. Marcyś i cała jego familja myślą tak samo, chociaż mu przecież wniosłam wiano: pięć krów, parę koni, roli osiem-morgów, dwie łąki, stajnię, stodołę, nie licząc porządków i pościeli.

Na Magdusię uderzyły ognie oburzenia; chciała odpowiedzieć, gdy szczęściem dla niej i Ewci, drzwi się rozwarły i w progu stanęła Kaśka.

— Proszę pani wydojone mleko schować!

Ewcia zerwała się: pierwszy raz nie była przy doju. Sumienie dobrej gospodyni poruszyło się—wybiegła!

— Pani! — powtórzyła Magdusia, naśladowując głos Kaśki.—Tę panią masz od Marcysia, i jeszcze ci źle, i jeszcze narzekasz? A to przecie więcej warte, aniżeli dziesięć morgów! Patrzajcie! Dostała porządnego człowieka, uczonego, spokojnego, rządzi się sama, jak szara gęś—trzysta papierków pensyi, prezenta z całej wsi — i narzeka... A ja, ja—wymawiała z coraz większą dumą, — mam się tylko troszkę podrożyć i iść, jak ona, za takiego samego nauczyciela? i mieć tylko trzy morgi i dwie krowy?... A dopierobys się swojemi ośmiu morgami puszyła!

Rozdrażnione nerwy i wybuchający gniew porwały Magdusię z kanapy. Zaczęła szybko chodzić po pokoju, skarżąc się na niewdzięczność ludzką i los własny.

— A nuż?..

I znowu ten sam szept myśli powtórzył się w jej głowie. Może będzie brunet i urzędnik, albo sędzia, inżynier... A nuż, a nuż? — powtórzyła. Niech co chce będzie, wróć do Białej.



Postanowienie to oprzytomniło ją i wprowadziło w dobry humor.

Nazajutrz, sprowadzony przez Marcysia przyjechał ksiądz brat, proboszcz z Brzozowej, mały, lecz krzepki, silny, zdrowy, czerwony, wiecznie uśmiechnięty i wiecznie wesoły. Przywiózł z sobą cztery butelki wina, Marcys postawił po piwo i zaczęła się narada nad losami Magdusi, kiedy tymczasem w kuchni Ewcia z Kasią przyrządziły śniadanie. Kasia zabite kaczki skubała, „pani“ piekła ciastka, które wypiekać nauczyła ją organiscina.

Marcys i Magdzia szanowali księdza brata, i kochali go za jego dobroć, uczynność i dbałość o losy rodziny.

W tym samym bawialnym pokoju, którego okna zastawione były doniczkami geranii i laku, osłonięte frankami, na kanapie obitej czarną ceratą zasiadł ksiądz brat, a obok niego Marcys; naprzeciw umieszcza się Magdusia wyprostowana, spokojna i pewna siebie. Na stoliku okrytym bawełnianą serwetą w kółeczka, roboty Ewci, stało w kufkach piwo. Bracia zamysłeni upijali potrosze, kufle odstawiali, ocierali usta, wzdychali i milczeli, jak przystało na mężów pragnących głęboko się zastanowić, nim przystąpią do rozstrzygnięcia tak ważnej kwestyi, jak wydanie za mąż najmłodszej z rodzeństwa siostry.

— Magduś — zabrał głos ksiądz brat po wysłuchaniu relacji, — Marcys ma racyą. Franek jest partya. Chłopak porządny, oszczędny, zasobny, spadkobierca zaborowskiego proboszcza. Będziesz miała pewny, spokojny kawałek chleba. I o cóż ci idzie? Jestem stanowczo za Frankiem.

Marcys pocałował brata w ramię na znak podziękowania i wdzięczności, za dzielenie jego opinii.

— A nie mówiłem ci — zwrócił się do Magdusi, — że ksiądz poświadczy moje słowa?

— A czy ja mówię, że nie chcę?! Ludzie dajcie mi pokój!

— Kiedy chcesz, to czemu nie idziesz, a *fasony* stroisz?

— Mam zaraz z zawiązanymi oczyma lecieć, rzucać mu się na szyję, błagać go, prosić, płakać?..

— Moja Magduś nie rób mię głupim, — odparł ostro Marcys.

— I czegoż się klóćcie? — strofował ksiądz brat.

— Czego? — odparła Magdzia; — tego, że skoro ze swoim Frankiem wypieś u Naganieckiego dziesięć kufli piwa, to jużbyś w piekło poleciał za nim, i wydał mnie za niego w jednej koszuli.

— Więc o cóż ci Magduś idzie?— spytał ksiądz brat.

— O co?.. o to, że lecieć nie mam potrzeby, że nauczycielowi nie chcę przewracać głowy i nie chcę, aby się chwalił, a jeszcze mi wymawiał, że jak tylko palcem kiwnął, poleciałam za niego. Ewcia prosta, nie uczona, a tak samo mówi — i dziś żałuje, że się z tobą nie drożyła.

— Bo głupia!—zawołał Marcyś oburzony.

— Cicho! — uspakajał ksiądz. — Mój Marcyś, powiedziawszy prawdę, dziękuj Bogu i za żonę, i za wszystko, co przez nią dostałeś.

— A ona nie ma za co dziękować?

— Pewno, ale jej nie poniewieraj.

— On tylko przy nas taki hardy; przy Ewci trusia.

Jakby na zakłęcie wbiegła Ewcia, czerwona od ognia, z blaskami radości w poczciwych oczach. Ksiądz brat powstał, pocałowała go w ramię, on ją w głowę, ujął za rękę, i wpatrując się w jej rumianą twarz zapytał.

— No, cóż, kochana gosposiu, kiedyż nam chrzciny wyprawisz?

Młoda kobieta wyrwała się i uciekła. Marcyś z miną uszczęśliwionego zawołał:

— Księżu bracie, klnę się na wszystko, zem nic nie winien.

Magdzia spuściła oczy, jak wypadało skromnej pannie.

— Gosposiu, chodźże do nas, już ani słowa nie pisnę — prosił ksiądz, odchyliwszy drzwi od kuchni.

Po niejakej chwili wróciła Ewcia oniesmiełona, nadrabiając minką.

— O czemże państwo radzą? — spytała, siadając przy Magdusi.

— Możnaż o czemś innem radzić, gdy panna w domu? — odparł Marcyś.

— Radź, o czemś chcesz, a mnie daj pokój, — odparła obrażona dziewczyna.

— Moja Magdziu, tak się tylko mówi. — Ewcia pogładziła włosy Magdusi i pocałowała ją, aby burzę zażegnać.

— Niech mądre głowy radzą — mówiła dalej, — aby było dobrze, aby się ludzie z nas nie śmieli, a tobie nie stała się krzywda.

— Właśnie tak radzą, aby się ludzie śmieli, rzekła zadasana Magdusia.

— Co? — jednocześnie zawołał ksiądz brat i Marcyś.

— Że jakiś tam nauczyciel ma trzy morgi i kiwnął palcem, chcą abym za niego dziś, w tej minucie leciała.

— Naprzód nauczyciel nie jest jakimś tam, jak sobie myślisz. — rzekł surowo z godnością Marcyś, — a potem nie kiwaj palcem moja droga.

A zwracając się do księdza, mówił dalej:

— Franek był tu wczoraj, i powiedział, że nie ma czasu i pieniędzy na konkury, bo on nie żaden wielki pan. Żenić się, to zaraz, a nie, to dać pokój. Panien w okolicy nie brak i, nie jedna, ale dziesięć, pocałowałyby go w rękę i polecały z zamkniętymi oczyma.

— Niech leca, — zawołała obrażona Magdusia.

— Poleca — odparł Marcycś, — pochwyił kufel, wypił z niego piwo do ostatniej kropli i postawił go z taką siłą, że aż Ewcia wyciągnęła ręce, z obawy o kufel i stół.

— Marcycś, nie udawaj zucha, bo nim nie jesteś, — łagodził ksiądz zapal brata.

— I nie świadcz za panem Franciszkiem, będąc bratem Magdusi, dodała Ewcia.

— Właśnie dlatego, że jestem bratem.

— Zgoda, zgoda! — wołał proboszcz. — Przyjechałem na radę, nie na kłótnie.

— To czemuż brat nie radzi? — odezwała się Magdzia, — a pozwala Marcycsiowi pleść głupstwa?

— Głupstwa?.. — zawołał Marcycś. — Daję ci męża, szczęście, los!

— Co za los, trzy morgi gruntu?..

— Magduś, co ty sobie myślisz?

— Że biednym nazywa się chłop, posiadający trzy morgi gruntu.

— Słyszy brat, jak jej kapelusz z welonem, inżynier, oficerzy i Ryfka przewrócili w głowie!

Ksiądz brat wysuszył do dna kufel piwa, postawił go na stole i obcierał usta. Magdusia, zarumieniona gniewem, chciała wybuchnąć. Powstała, aby mózdz swobodnie gestykulować, gdy proboszcz ręką nakazał milczenie.

— Magduś—rzekł poważnie ksiądz brat,—jesteś uboga dziewczyna.

— Wiem, --odparła sucho Magdusia.

— Cicho, nie przerywaj! — krzyknął Marcys.

— Ty sam siedź cicho i nie wtrącaj się!

— Słyszysz brat?...

— Dajcie pokój, dzieci jesteście czy co? — Zwrócił poważny wzrok na Magdusię. — Jeżeli wiesz, żeś uboga, to i wiedzieć powinnaś, że grymasy nie są ci do twarzy.

— Masz, coś chciała,—szepnął Marcys.

Magdusia rozdrażniona czekała na koniec przemowy.

— W Białej niema dla ciebie partyi, bo tam każdy patrzy na grajcar. A znowu nie jesteś tak piękna, żeby za tobą ludzie szaleli, lub we łby sobie strzelali. Podziękuj Bogu, że ci się trafił chłopak dobry i tyle głupi, że cię chce w jednej koszuli.

Tego już było nadto, Magdusia zalała się łzami.

— Dajcie pokój mojej biedzie i mojej brzydocie. Ledwo przyjechałam, już wymówki. Kiedy on głupi, że mnie chce, to ja mam tyle rozu-

mu, aby mu nie zawiązywać losu, i nie chcę, żeby mnie brał w jednej koszuli. A może znajdę sobie takiego, co za mną oszaleje i w łeb sobie strzeli, albo mnie weźmie w jednej koszuli.

— Magduś miejże rozum,—strofował ją łagodnie ksiądz brat. — My przecie chcemy twego szczęścia.

— Dziękuję wam za wasze szczęście. Dotąd go mam,—przejechała palcem po szyi, i wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami.

— Masz czegoś chciał!—odezwała się tonem wymówki Ewcia do męża.

— Uważasz ksiądz, jak to baba za babę w ogień skoczy.

— Potrzebnieś tak gwałtował?—odparła mężowi Ewcia.

— Bo trzeba łapać, gdy się co dobrego zdarzy.

— Łapać, wy tylko łapać! Dziewczyna nie ma pociągu do zaborowskiego nauczyciela.

— Ale ubogiej dziewczynie nie wolno przebierać,—zdecydował ksiądz brat.—Co innego ty, moja Ewciu... Ty mogłaś jak w ulęgałkach szukać, póki nie znalazłaś takiego, co ci do serca przypadł.

Marcyś zbliżył się do żony, objął ją wpół i pocałował.

— Oj, ty impecie złośniku!—mówiła Ewcia, głaszcząc pieśczośliwie męża po twarzy.

— Dosyć, dosyć tego dzieci! — przerwał ksiądz,—teraz rada. Niech mówi Ewcia.

— Ja myślę, żeby nie pilić, dać spokój dziewczynie i czekać,—oświadczyła Ewcia.

— Nierozumiesz tego, że Franek nie chce czekać, odezwał się Marcys.

— Musi.

— Niema w tem musu, moja droga.

— Dziewczyna może się zawziąć.

— Ewcia ma rację. Pojedziemy do Zaborowia i braciom wytłumaczymy. Franek niech poczeka choćby ze dwa miesiące.

— A on chciał dać na zapowiedzi w niedzielę.

— Taki sam w gorącej wodzie kąpany, jak Marcys; oni wszyscy jednacy...

— Moja Ewciu, na to co dobre, nikt nie chce długo czekać,—rzekł wesoło ksiądz.

Ewcia spuściła oczy.

— A teraz ty masz. czegoś chciała!—Mówiąc to Marcys zerwał się i pocałował w koralowe usta żonę.

— Poszukaj lepiej siostry i przyprowadź ją, a ja księdza brata proszę do drugiego pokoju na kaczki. Już powinny być upieczone.

Marcys poszedł szukać siostry, ksiądz brat przeszedł do izdebki położonej przy kuchni, przeznaczonej na pokój jadalny.

Marcys po daremnych poszukiwaniach wrócił zmęczony. W tej samej chwili weszła Ewcia,



niosąc na półmisku nadziewane jabłkami kaczkami, za nią Kaśka, trzymając w jednej ręce talerz z kapustą, w drugiej ziemniaki.

Zapach ziemniaków i kapusty mile podrażnił podniebienie brata jegomości.

Bracia narzekali krótką chwilkę na romansowość dzisiejszych panien, poczem napili się wódki i zasiedli do stołu, mając pośrodku Ewcię.

— Dlaczego to bratowa nie grymasiła?—odezwał się jegomość, zabierając się do kaczego uduka.

— Bo mój Marcys nie jest zaborowskim Frankiem,—odparła Ewcia z dumą, i zapłonila się cała w połowie z radości, w połowie ze wstydu.

— Prawda, Marcys jest zuch, ale i Ewcia grzeczna, zawołana gosposia, trzyma wszędzie ład i porządek, aż miło spojrzeć. Za zdrowie Ewci, — ksiądz brat podniósł kieliszek w górę i trącił nim o kieliszek bratowej. Ewcia wzruszona pocałowała jegomością w rękę, Marcys, obtarłszy usta, złożył pocałunek na czole żony. Dziś dopiero dowiedział się i uwierzył, że jest różnica między nim a kolegą zaborowskim, chociaż obadwa jednakowo dobrze uczyli, a Franek w dodatku ma trzy morgi własnego gruntu.

— Wiesz brat co? — odezwał się Marcys, po piątym kieliszku wina. — My jednym wózkim, baby wpakujemy na drugi, i wio! do Zaborowia.

Ksiądz się zamyślił, rozważał, ważył za i przeciw projektowi, podniósł kieliszek do ust, przechylił, postawił go z determinacją na stół i rzekł:

— Zgoda jedziemy wszyscy, ale tylko do zaborowskiego proboszcza.

— A, rozumie się, że do proboszcza. Tegoby jeszcze brakowało, żeby pannę wozić do kawalera!—oświadczyła Ewcia.

Oczy się jej świeciły, usta leko drżały. Lubiła jeździć z Marcysiem, a czuła się w łaskach u jegomości.

— Do jegomości — podchwycił Marcys, — lecz przy okazji Magdzia zobaczy szkołę, ogród, stajenkę, grunt, urodzaje, krowy. Jakie ma Franek krowy!... Wszystko razem powinno dziewczynie wybić grymasy z głowy.

— Niezawodnie, — dodał ksiądz. — Ale kiedy jazda to jazda. Wołajcie Magdzię, niech wraca. Dosyć tych fasonów. Ewciu, zabieraj się.

Ewcia wybiegła do kuchni, a za chwilę rozlegał się piskliwy głos Kaśki:

— Panno Magdziu, panno Magdusiu!

Bracia za stołem kończyli butelkę wina, rozprawiając obszernie o zaletach Franka, o weselu, kogo prosić i z czym wystąpić.

Tymczasem Kaśka darła się na cały głos:

— Panienko, w drogę! kaczkę zjedzone, jegomość woła!...

Magdusia.

Magdusia na górze ukryta w krzakach leszczyzny, słyszała wołanie Kaśki, lecz zagniewana, nie odzywała się.

— Szukajcie piękniejszej,—odpowiedziała cicho. — Ja się wam nie odezwę, choćbyście się wszyscy cały dzień darli.

Przymówkę księdza wzięła do serca.

— Otóż za mną ludzie będą szaleli i we łby sobie strzelali! — zawołała. Widząc, że Kaśka biegnie ku krzakom, zerwała się i uciekła pod górę, kryjąc się poza drzewa.

Kaśka ochrypła i zmęczona wróciła, wózki zajęchały, Magdusia zaczęła się dziwić: dlaczego aż dwa?

Jegomość wyszedł na ganek, złożył dłonie, przysunął je do ust i zaczął wołać:

— Magdzia! dosyć fasonów, wracaj, jedziemy.

W tej chwili ukazała się na ganku Ewcia w ostrej sukni do figury i w kapeluszu, za nią w czarnym surducie Marcyś.

Magdusia lubiła jeździć, nogi jej drżały, rada była zbiedz, dać pokój fasonom, ubrać się, wdziać biały jedwabny kapelusz i lecieć choćby na koniec świata. Zatrzymywał ją wstyd, obrażona duma—została.

— Dobrze! kiedy tak, to nie potrzebuję waszej łaski, waszych kawalerów, waszego wszystkiego. Obejdę się bez was, jak się dotąd obywałam, i dam sobie radę,

Zbiegła szybko na dół.

— Zapóźno, już pojechali!—zawołała Kaśka, widząc biegnącą Magdusię. — Już ich panienka nie dogoni.

— Niech sobie jada, nie chce ich gonić—rozumiesz?

— Nie trzeba było „grymasować“, toby się panienka zabawiła.

— Głupia! — szepnęła, — ja dbam o wasze zabawy!...

Kaśka zdziwiona patrzyła na Magdusię, nie mogąc pojąć, dlaczego właśnie dziś nie dba o zabawę.

— Wczoraj panna dbała...

— Cicho! przynieś mój kufer.

Kaśka wytrzeszczyła oczy.

— Słyszysz!

— Cóż to panna myśli uciekać?

— Myśle.

— Czy pannę co ukąsiło?

— Ukąsiło,—odpowiedziała, i sama poszła na górę.

Kaśka ruszyła za nią; w milczeniu zniosły kufer; Kaśka otarła go ścierką, i bojąc się drażnić ukąszoną panienkę, poszła do kuchni skrobać ziemniaki.

Magdzia została sama, dwa razy głośno westchnęła, tupnęła nogą, gwałtownie otworzyła kufer,

i z równym impetem komode, wybierała bieliznę, układając ją w kufrze.

— Dziewięć. — zawołała. — Jeżeliby mnie wziął, to z dziewięciu koszulami, a nie z jedną, — dodała ciszej. — Ale choćbym miała jedną dziurawą, to za ciebie nie pójdę!...

Czuła niechęć do Franka. Wszystkie upokorzenia; gniew, obrazę, pozostanie w domu przypisywała Frankowi. On był wszystkiemu winien.

Wypełniony po brzegi kufer zamknęła i usiadła na nim, rada ze swej energii.

W tej chwili zabrzączały podkowy o bruk podwórka; wyjrzała. Parobek jegomościa prowadził konie do wody.

Magduś wychyliła się z okna.

— Walek, odprowadź konie i przyjdź tu prędko.

Chłopak na znak zgody kiwnął głową, i za chwilę wszedł do kuchni. Magdzia czekała na niego z kieliszkiem gorzałki.

— Lubisz słodką? — spytała.

— Lubię nie słodką, a słodkiejbym nie lubiał? — odpowiedział rezolutnie.

— Masz! — podała mu kieliszek. — Chciałbyś zarobić dwie szóstki?

— Żeby ino można.

— Można. Popaś konie i zajedź, odwieziesz mnie na kolej.

— A jegomość gdy wróca?

— Będziesz z powrotem wcześniej od jegomościa.

— Kaśka — szepnął, — zdradzi.

— Niech zdradza. Powiesz, żem ci kazała, kazała! Cóż to, nie jestem rodzoną siostrą jegomości?

— Prawda—poświadczył Walek,—i jeżeli panienka chce jechać na pociąg do Krakowa, to zaraz.

— Jestem gotowa.

— Konie sobie spoczęły, zaprzęgnę i zajadę.

— Dobrze.

Walek wyszedł, rozpromieniona Magdusia wpadła znów do swego pokoju i poczęła zbierać gorączkowo drobiazgi.

Wbiegła Kaśka.

— Cóż to panienka ucieka bez pożegnania? a któż to panience był krzyw? Może moja pani? Dopiero to będą na mnie skargi, że panienkę puściłam.

— Wolno mi przecie jechać do matki.

— Wolno, ale jutro, jak wróca: pan, pani i jegomość. Niechże panienka zostanie, bo mi urwą głowę.

— To już niema nijakiej rady na panienkę?

— Niema,—odpowiedziała Magdzia. — A gdy się będą pytali, gdzie pojechałam?—powiedz, że do Białej.

— Do matusi. Już to co serce matczyne, to nie obce, — wygłosiła Kaśka poważnie.

Zajechał Walek. Kufer umieszczono poza siedzeniem. Magdusia westchnęła, Kaśka ocierała suche oczy zapaską.

— Kiedyż znowu panienka do nas wróci? — pytała.

— Szukajcie sobie ładniejszej, ja dla was za brzydka...

Turkot bryczki zagłuszył ostatnie wyrazy Magdusi. Kaśka nie mogła odpowiedzieć.

Dopiero o samej północy wrócili państwo Marcysio wie z jegomością bratem. Kaśka powtórzyła wszystkie szczegóły odjazdu Magdusi, każde jej słowo, ruch, mrugnięcie oczu.

— Szukajcie se ładniejszej, ja dla was za brzydka...

Po ostatnim frazesie Kaśki zrozumiano i powody obrazy, i nagły wyjazd Magdusi.

— A co? nie mówiłem — zawołał Marcyś, — że jej oficery, Ryfka i inżynier w głowie przewrócili?...

— Wiecie co — rzekł jegomość, — dobrze się stało, że pojechała.

Małżonkowie czekali wyjaśnienia.

— Przecież dziewczyna gdy zamaż idzie, musi być u matki po błogosławieństwo.

— Prawda, — przyświadczyli zdumieni mąż i żona.

— Pojechała więc!

— Pojechała, powtórzyli.

— Powiemy to Frankowi i zaborowskiemu proboszczowi. Nie mogą mieć nic przeciw temu.

— Nie,—przyświadczyli znowu.

— A jeżeli nie będzie chciała wrócić?—zrobił uwagę Marcyś.

— To my po nią pojedziemy,—rzekł groźnie proboszcz.

Małżonkowie uszanowali groźbę, a dodatkowo Ewcia, dziwiąc się rozumowi brata jegomości-pochwyciła jego rękę i podniosła do ust.

---



### III.



Magdusia, dumna powodzeniem i odniesionemi tryumfami na jarmarku w Tuchowie, wróciła do Białej.

Przebaczyła braciom ich szorstkość, bratowej wdziwanie rękawiczek w chwili, gdy ona stała w krzakach leszczyny. A co do ubliżenia jej piękności, zawołała:

— Albo oni się znają!

Wykrzyknik ten uspokoił ją. Pewna była swego. Oficery, inżynier i Ryfka, ci widzieli coś na świecie i mają gust.

— Mają gust! mają gust! — powtarzała, patrząc w lustro, wysuwając z poza wiśniowych grubych ust szereg białych zębów.

Przed matką nie wspomniała o konkurencie, z obawy, aby jej nie odesłała z powrotem.

— Jeżeli pójdę za niego — myślała o Franku—to pierwej musi się naprosić, napłakać, na-

załamywać rąk, przyjeżdżać tu, klękać. Jeżeli nie ukłęknie, to niech się wynosi. Chociaż nie mam pieniędzy, przynajmniej mam swoją ambicję.

W tydzień po przyjeździe do Białej, wracając z fabryki, przechodziła most rzucony na rzece Białej, dzielący Galicyą od Szlązka, a miasto Białą od Bielska. Z przeciwnej strony szedł młody człowiek, brunet, z czarnemi włosami i czarną, niewielką, kręcącą się brodą. Oczy również miał czarne, jak węgiel, wysoki był i barczysty. Magdusi, nie wiedzieć dlaczego, serce bić zaczęło, gdy przechodziła około bruneta. Uczuła, że krew uderza jej do głowy, i oczy przysłoniła rękami. Brunet wpatrywał się w nią ciekawie.

Magdzia, zaledwie uszła parę kroków, obejrzała się. Brunet, zwrócony ku niej, stał i patrzył. Zawstydzona dziewczyna, przyspieszyła kroku. Przeczynała, że brunet idzie za nią, lecz obejrzec się nie śmiała. Dopadła do domu matki, przebiegła sieni, wpadła do pokoju, i ukryta za firanką i kwiatami w doniczkach — patrzyła.

Brunet o kilkanaście kroków przed domem stanął, patrzył i zdawał się namyślać. Miał na głowie cylinder, na rękach rękawiczki, trzymał złotą laskę w ręku.

— Ach! jaki ładny!—szeptała Magdzia.

Mimowolnie nasuwały się jej na myśl porównania nieznanego z Frankiem.

— Przecież to kawał mężczyzny. Nie taki płaski, jak tamten, i nie taki płowy. Jakie włosy, broda, figura!.. panicz. Żeby to z nim pod rękę przejść się po ulicach Białej, a lepiej jeszcze po Tuchowie na jarmarku.

Westchnęła. Ognie na twarz jej buchnęły.

— Brunet, rękawiczki, oczy, broda, laska. To on, ten sam! O nim myślałam i byłam pewna, że się zjawi, że go zobaczę, że przyjdzie...

Odsunęła franke, i nachylając się ku kwiatkom, zarumieniona spojrzała.

Brunet uklonił się kapeluszem; odkloniła się i zawstydzona, schowała się za frankę.

— Zkąd się tu wziął? czem jest? co robi? Magdusia знаła wszystkich kawalerów w Białej, a przedewszystkiem wszystkich brunetów, nie znała tylko tego jednego—najpiękniejszego.

Brunet stał dość długo, patrzył, dumał, a nie mogąc się doczekać, aby Magdusia raz jeszcze ukazała się w oknie, odszedł.

Wieczorem wróciła do domu matka. Magdzia poczęła ją wypytywać o bruneta z czarną brodą.

Napróżno obie zaciekały się w domysłach. Zgodzono się, że musi to być obcy, przejezdny. Matka i córka, każda ze swej strony roily o stanowisku bruneta wielkie rzeczy, lecz obie milczały.

— Magdus, mówisz, że miał rękawiczki? — zaczęła matka.

— Granatowy żakiet, popielate pantaliony i żółtą laskę ze złotą galką w rękę, — kończyła Magdzia.

— Zkądże wiesz, że złotą?

— Świeciła się na słońcu, że aż luna od niej biła.

-- Będzie, co Bóg da, — zawyrokowała matka. — Moja Magduś, może tobie przeznaczono być panią?

Magdusia pokazała białe zęby, mówiąc.

— I jeszcze z takim ładnym chłopcem! To nie żal...

— Czego nie żal?—spytała matka.

— Młodości, wszystkiego. Niczego nie żal...

Nazajutrz po zachodzie słońca na moście dzielącym Białą od Bielska, brunet w rękawiczkach i z laską o złotej galce, stał oparty o poręcz mostu.

Zaledwie Magdusia zobaczyła czarny punkt na moście, odgadła go. Bicie serca i rumieńce szeptały jej:

— Zaczepi cię, przemówi. Co mu odpowiesz? jak się znajdziesz? Odważnej dziewczynie strach i niepokój zapierały oddech w piersiach.

Szła żywo, udając, że nikogo nie widzi. Na moście oczy przysłoniła powiekami. Widziała jednak, że brunet wpatrywał się w nią jak w obraz; postąpił parę kroków...

— Panno,— rzekł spokojnie i trochę uroczyście, uchylając kapelusza.

Magdusia, zarumieniona jak wiśnia, stanęła.

— Nie zaczepiam panienki tak tylko, dla zaczepiania. Wiem, że panienka jesteś uczciwą dziewczyną, a i ja jestem uczciwym człowiekiem.

Magdzia nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czowała, że ją opuściła dawna energia i przytomność. Brunet widocznie miał ich znaczny zapas, gdyż nie spuszcżając oka z Magdusi, mówił dalej:

— Czy panienka pozwoli, abym ją odprowadził do domu? Jeżeli ją chcę odprowadzić, to dla tego, aby ją uszanować.

— Proszę, — szepnęła zjednana propozycją Magdzia.

Szli jedno obok drugiego w milczeniu. Magdzia chciała koniecznie przemówić, lecz nie wiedziała co. Myślała, myślała i nic wymyśleć nie mogła. Radość i rozrzewnienie malowały się na jej twarzy, płacząc myśli, tamując wymowę.

— Panienka pewno niedawno przyjechała do Białej?

— Dwa tygodnie, jak od brata wróciłam z Galicyi. Pan dawno już u nas?

— Od dwóch miesięcy.

I znowu zamilkli. Słychać było odgłos ich kroków po bruku. Odgłos ten drażnił Magdusię; chciała go przerwać, nie mogła, nie śmiała.

— Już od tygodnia panienska mi wpadła w oko, — zaczął brunet.

— *Taaak?*—szepnęła dziewczyna.

— I gdyby się panna Magdalena obzierała, toby mnie już ze sześć razy widziała.

— Nie lubię się obzierać,—odparła.

— I to mi się bardzo podobało,—dodał brunet poważnie.

— Rozumny i uczciwy człowiek,—pomyślała Magdusia.

Tymczasem młodzieniec wpatrywał się łaskawie w jej twarz rumianą, okrągłą, oraz w złotawo-czerwonawe włosy, wydobywające się z pod kapelusza.

Stanęli przed mieszkaniem Magdzi.

— Czy panienska pozwoli, abym dziś wieczorem przyszedł?

— Pozwolę,—odpowiedziała filuternie naiwną minką.

— A może mnie mama wypędzi?

— Kogo ja przyjmuję, temu i mama rada. Przecież pan będzie grzeczny.

— A panna Magdalena będzie również dla mnie grzeczna?

— Przyjdź pan, a przekonasz się — odpowiedziała żywo, podała rękę do ściśnienia i uciekła.

Brunet rad był ze znajomości, Magdzia uszczęśliwiona. Matka widziała przez okno rozmawiających, i dziękowała Bogu.

— Ja zawsze wierzyłam, że moja Magdzia da sobie radę na świecie.

Dziewczyna wbiegła zdyszana i rozpromieniona na górę.

— Mamo! brunet przyjdzie! — zawołała, zsunęła się na stołek i ręce opuściła, chwytając gwałtownie w płuca powietrze.

— Któż on taki?

— Nie wiem.

— Bogaty?

— Nie wiem.

— Co tu robi?

— Nie wiem.

— Jak się nazywa?

— Nie wiem.

— Magdusiu!

— Nic nie wiem, tylko to wiem, że ładny chłopiec, grzeczny, elegancki. Nic nie mówił o sobie, a ja naturalnie nie śmiałam go rozpytywać.

— Bo i jemu nie wypadało chwalić się.

— A widzi mama!

Odпочąwszy, wstała, zdjęła kapelusz, podbiegła do lustra, rozpuściła włosy i czesać się zaczęła.

— Magduś, trzeba go przyjąć... może kawą?..

— A rozumie się, że kawą. Moja mamo, to panicz... Śmietankę mamy — tylko kawą...

— Wdziejesz świeżą sukienkę.

— Popielatą ostrą z niebieską kokardą u gorsu i astry do włosów. Są w ogródku,— mówiła dziewczyna gorączkowo.

Matka podłożyła ogień pod blachą, stół nakryła białym obrusem, z komody zdjęła świąteczne filiżanki.

— Rogalki i sucharki, — dysponowała, ubierając się dziewczyna.

— Będą, niech kawę zgotuję. Bylebyś ty się ubrała i była ładna, — o resztę się nie kłopotz. Wstydu ani sobie, ani tobie nie zrobię.

Kawa zakipiała, matka zarzuciła na ramiona chustkę, ukrywając pod nią koszyczek i wybiegła...

— A teraz pokażę wam — zawołała Magdzia, myśląc o Marcysiu, nauczycielu i księdzu, — czy ja jestem taka już brzydka, jak się wam zdaje. I czy potrzebuję dziękować Bogu, że mnie chce nauczyciel. I to jeszcze jaki? Płowy, chudy, blade! Mój panicz nie jest płowy i nie blade. Co za elegancya, jakie wychowanie! A jakie oczy!

Nie chciała wspominać o rękawiczkach, lasce i granatowym żakiecie.

Wróciła matka, przynosząc oprócz pieczywa, astry urwane w ogródku.

— Możebyś fartuszek wdziała? Jak myślisz?.. Niech wie, żeś dobra gospodyni...



Przychylnie przyjęła Magdusia radę matki. Miała zielonawy fartuszek z ponsowemi różami. Wyjęła go z komody, i za ledwo związać zdołała, dały się słyszeć odgłosy kroków mężczyzn na schodach.

— Idzie! — szepnęły obie.

Magdusia ostatni raz spojrzała w lustro, matka szybko poprawiła wstążkę od czepka związaną na kokardę pod brodą.

Drzwi się otwarły — wszedł brunet, uklonił się, postawił laskę przy drzwiach, zbliżył się do matki, pocałował ją w rękę, ścisnął tłustą łapkę Magdusi, raz się jeszcze uklonił i powiedział poważnie:

— Wilhelm Kumler...

W odpowiedzi matka i Magdzia dygnęły.

— Wilhelm Kumler, — powtórzyła w duchu Magdzia. — Piękne imię i ładne nazwisko, lecz cóż dalej?

— My o te czasy zawsze pijamy kawę, — przemówiła matka. — Może pan nie pogardzisz?

— Proszę, — odpowiedział Wilhelm Kumler, zdejmując rękawiczki.

Ręce miał białe, a na czwartym palcu prawej ręki, jak przystało na Kumlera i Wilhelma, sygnet z szarawym kamieniem. Sygnet ten na kobietach zrobił wielkie wrażenie.

Kumler zasiadł za stołem; kobiety obok niego. Palcem ozdobionym w sygnet po każdym

łyku poprawiał wąsy, smakował, lecz milczał. Matka i Magdzia nie śmiały mu przerywać. Dopiero gdy brunet ostatni łyk przełknął, rzuciła dyplomatyczne pytanie matka:

— Na długo pan w Białej?

— To zależy...—odparł również dyplomatycznie Kumler, kierując powłóczyście spojrzenie na Magdzię.

Na twarzach kobiet malowało się radosne zakłopotanie. Magdzia spuściła oczy.

I znowu nastąpiła drażliwa cisza.

Matka nie mogła znieść stanu wyczekiwania i niepewności; postanowiła sytuację wyjaśnić.

— Od czego zależy?—spytała.

— Od panny Magdaleny.

— Odemnie? — powtórzyła Magdzia, udając zdziwioną.

— Niezawodnie.

— W czymże takim?

— W tem, aby panna Magdalena została moją żoną.

Pochylił się ku matce i pocałował ją w rękę. Zwrócił się do Magdzi i jej rękę również przycisnął do ust.

Stało się to, czego się spodziewały i na co oczekiwały. Tajemnica się ujawniła, marzenia Magdzi ziszczone. Widocznie było jej przeznaczeniem mieć bruneta za męża.

Po oświadczeniu, matka przybrała poważną minę, pomyślała chwilę, poprawiła wstążkę pod brodą utrzymującą czepek, i w te odezwała się słowa:

— Przeznaczenie panien jest takie, aby szły za mąż. Jesteś pan młody, przystojny i brunet. Magdzia blondynka. Widać, żeś pan porządny człowiek. — Wskazała ręką na jego granatowy zakiet, krawat i sygnet na palcu.—Mimo to my pana nie znamy. Nie wiemy, kto jesteś, czem się trudnisz i co masz. Magdzia posagu nie ma.

— Nie?—spytał zdziwiony.—A ten dom?

— Wprawdzie niby to nasz, lecz edukacja synów zjadła go.

— Musiało coś przecie zostać?..

— Nie wiele, ledwo na pościel i bieliznę do wyprawy.

Wilhelm Kumler zamyslił się. Obie kobiety zaniepokojone śledziły wyraz jego twarzy.

— Co do mnie — odezwał się po długiej zadumie,—to powiem prawdę: jestem uczony piekarz.

Matka z córką porozumiały się wzrokiem. Uroki pierzchły.

— Piekarstwa uczyłem się w Cieszynie,—mówił dalej nieśmiało.—Powiedziano mi, że w Białej są posażne panny, i że łatwoby mi było ożenić się i interes założyć.

— Żleś pan trafił,—sucho odezwała się matka.

Wilhelm nie zwracał uwagi na suchość odpowiedzi; westchnął głęboko i znowu zaczął:

— Mam ja wprawdzie uszparowanych trzysta papierków, i gdyby bracia pomogli, możnaby dom przerobić na piekarnię i zacząć interes.

Trzysta papierków „uszparowanych“ ulogodziły matkę. Magdusi twarz rozjaśniła się.

— Bracia zjadłszy dom na swą edukacją — pomyślała, — powinni pomódz. I miałabym pięknego chłopaka, bruneta—piekarza.

Na myśl, że będzie piekarzową, dreszcz ją przeszedł. W tej chwili Wilhelm spojrział — spojrzenia ich skrzyżowały się. Magdzi aż falami krew uderzyła do głowy, serce ścisnęło się, a potem zaczęło bić szybko.

— To nie piekarz — pomyślała, — to panicz. A czy pisze w urzędzie, czy bułki piecze—wszystko jedno. Panicz zawsze będzie paniczem.

Wilhelm powiedział wszystko o sobie, nie skłamał ani jednego wyrazu. Z bocznej kieszeni granatowego zakietu wyjął pugilares, wydobyl z niego książeczkę kasy oszczędności cieszyńskiej i podał matce, która ją przeczytała Magdusi.

— Znam swój fach — odezwał się pewny tego, co mówi, — i byle troszkę grosza, możnaby żyć uczciwie i do majątku przyjść. Pani mówi, zem źle trafił. Mnie się zdaje, że dobrze, jeżeli się tylko spodobałem pannie Magdalenie.

— Ależ tu niema mowy o podobaniu się! — przerwała matka.

— Jest, proszę pani, odparł Wilhelm. — Bo jeżeli się spodobałem, to bracia pomogą, zostaną mężem panny Magdaleny, interes otworzę.

I znowu pochylił się ku matce, całując jej tłustą szeroką, opaloną rękę, a następnie pochwywszy rękę Magdusi, długo ją trzymał przy ustach.

Gorącym wylaniem swych uczuć stanowczo zdobył serca kobiet.

— Radzić się musi i zawsze coś uradzi, — zabrała głos matka. — Oboje jesteście młodzi, zdrowi, dacie sobie radę. Ponieważ Magdusia wpadła panu w oko i wlaźła do serca, to możesz bywać w naszym domu, poznacie się, a ja do synów napiszę.

Wilhelma Kumlera uznano tedy za urzędowe konkurenta panny Magdaleny.

---

#### IV.

*„Biała, d. 23-go maja r. 188...*

„Kochani synowie!

„Jakoście siostrę waszą wyprawili z powrotem do domu, tak i szczęśliwie wróciła. A teraz donoszę wam, jak jej się trafił konkurent, człowiek młody, rosły, bardzo przystojny brunet, nosi się porządnie, że nie powiem elegancko. Cylinder, laska ze złotą gałką, sygnet na palcu i zegarek. Ma własnego majątku w szparkasie cieszyńskiej trzysta papierków — pisuje w urzędzie, a jest uczonym piekarzem.

„Jako uczony piekarz, pojawiwszy Magdzię, pragnie założyć interes i dom na piekarnię przerebić. Trzysta papierków, które ma, mówi, że mało, — a gdy bracia zjedli dom, to powinni teraz Magdzi dać trzysta papierków; sześćset wystarczy. Moi synowie, skalkulujcie całą rzecz dobrze. Prawdą jest, jakoście dom na edukacją

zjedli. Magdzia sierota, mnie siły opuszczają, po schodach ledwo nogi dźwigam. Chłopak porządny, Magdzi się spodobał. Albo pożyczcie, albo się złóżcie, bo losu dziewczynie zawiązywać się nie godzi. To byłoby już paskudnie, siostrę i mnie bez poratunku zostawiać, kiedyście z domu wszystko wyciągnęli.

„A tak ja się przy córce uchowam, zięć mnie będzie szanował. Teraz gdy wchodzi do pokoju, czapkę zdejmuje i całuje mnie w rękę. Będę sobie spokojnie w sklepie siedziała, pończochę robiła, towar sprzedawała i kawę piła.

„Magdzia mówi, że szczęście jej trzymacie w rękę, a że jesteście bogacze, to sieroty i mnie nie opuścicie.

„Posyłając wam matczyne błogosławieństwo, ściskam was obu, Ewcię pozdrawiam.

„*Elżbieta*, matka.

„*Ps.* Mówię wam, a nie od dziś przecie żyję na świecie, ten uczony piekarz prawdziwy paniecz“.

Na trzeci dzień proboszcz odebrał list matki, przeczytał go i w wielkim gniewie rzucił. Przeszedł się parę razy po pokoju, podniósł rzucony papier, przeczytał raz jeszcze, zmiął w rękę i zrobioną kulę z gwałtownością cisnął o ziemię.

— Panicz! — zawołał, — panicz! — powtórzył szydersko, błazen, kiep, osieł, dureń!.. Ja ci paniczu, wszystkie kości połamię. Ja ci dam mieszać się w nieswoje rzeczy. Ja cię, paniczu, nauczę rozumu; ja ci pokażę, kto zjadł dom—ty uczony piekarzu!

Otworzył okno.

— Walek! — krzyknął gwałtownie, zaprzęgaj natychmiast.

Walek wpadł do stajni. Lubił jeździć.

W dziesięć minut bryczka zaturkotała po kamieniach dziedzińca; do pokoju proboszcza wpadła gospodyni chuda, wysoka, smągła na twarzy, brunetka

— Już jegomość jedzie? — wołała energicznie ostrym głosem.

— Jadę, odpowiedział tonem spokojnym, zakrawającym na stanowczość.

— Siano w kopach może czekać — prawda?.. —a w wielkim palcu u nogi żga mnie już od wczoraj. Ale co to szkodzi? Jegomość powie:— „Niech sobie żga“. Jak lunie deszcz i zgnoi siano, na zimę nie będzie bydłu co do pyska włożyć, mleka ani kropli, masła nic, to wtedy i ja odpowiem jegomości:— „Niech żga“.

— Muszę, — rzekł łagodnie proboszcz.

Stanowczość jego zmieniła się powoli w prośbę i pokorę!



— Co to muszę?— odparła gospodyni. --- Muszę, nie muszę, siano pierwsze nad wszelkie musy. Ten łajdak Walek, onby tylko na koźle siedział.

— Moja pani...— zaczął jegomość.

— Co to pani? Ja nie pani, ja siebie zwykła gospodyni, a że nie dam jegomości marnować jego dobra, to jak ten Bóg wielki na niebie.

Wyszła, trzaskając drzwiami, i w tej chwili na dziedzińcu rozległ się ostry głos, wzywający Walka, aby odjeżdżał i założył konie do wozu. Rozkazowi temu towarzyszyły rozliczne przymiotniki, określające usposobienie i charakter Walka.

Jegomość po burzy ochłódl i przyszedł do przekonania, że należy naprzód załatwić własne sprawy, skończyć z sianem, a dopiero później zabrać się do siostry i panicza piekarza.

Na wspomnienie piekarza oczy jegomości nabierały złowrogiego blasku, a palce zaciskały się w pięście.

— Dziewczyna, jak każda dziewczyna, głupia i nic więcej. Ale matka, żeby pozwalać na te błazeństwa i powtarzać nam w liście skargi uczynnego piekarza... Zjedliśmy dom?.. Ja cię nauczę!.. Tak go dobrze zjedli matka z ojcem i Magdzia, jak i my!

Na ganku z odkrytą głową w białej płótniance ukazał się rosły chłop. Minę miał pokorną, oczy wystraszone. Zobaczył go przez okno jegomość i wyszedł.

— Michał, i czegoż to znowu?

— Gospodyni kazali mi z wygonu zająć krowę,—odparł Michał.

— Chciałeś powiedzieć: z pszenicy.

— Może jeden kłosik uszczypnęła.

— Bodaj cię z twoim jednym kłosikiem!.. Idź do gospodyni, ona tu rządzi.

— Gdzie baby rządzą, pociechy mało,—odezwał się chłop frasobliwie.

— Ile kazała zapłacić za szkodę? — spytał ksiądz.

— Coś pono papierka, -odparł Michał.

— Widzisz, że nie o jeden kłosek chodzi.

— Zkąd tu wziąć papierka, gdy człek nie ma grajara przy duszy?

Michał drapał się w głowę.

— Zkąd wziąć?—powtórzył jegomość i zamyślił się.—Ja ci poradzę.

— Chłop spojrział ciekawie.

— Wiesz gdzie Zalasowa?

— Jeszczebym o Zalasowej nie wiedział?

— Krowę puszcę, a za to polecisz mi z listem do brata w Zalasowej.

— Polecę,—zawołał Michał uradowany.

Jegomość wpadł do pokoju, zasiadł przy biurku i pisał:

„Kochany bracie!

„Czekam na ciebie. Wybierz się na parę dni. Dziś w nocy jedziemy do Białej. Dzieją się tam okropności. Jakiś uczony piekarz, panicz i błazen, chce się żenić z Magdusią... Myśmy we dwóch zjedli dom i mamy mu oddać to, cośmy zjedli. Słyszysz? mamy jemu, piekarzowi, oddać to, cośmy zjedli... Ja mu oddam!..

„Śpiesz się—możemy przyjechać zapóźno i tego się boję. Matka dlatego, aby siedzieć w sklepie, sprzedawać, gadać z kumoszkami i pić kawę, pcha dziewczynę do piekarza. Marcyś, przecież my do grzechu nie dopuścimy jeszcze żyjemy! Ucałuj Ewcię siarczyście, siadaj na wózek i przyjeżdżaj. Po kolacy i małej partyjce z wikarym ruszymy w drogę.

„Pozdrawiam cię.

Twój brat *ksiądz Ludwik*“.

List złożył, wsunął do koperty, zakleił i zaadresował.

Michał czekał na ganku.

— Dobrze mój jegomościuniu, pójdę do Zalasowej, ale krowa?

— Powiedz niech ci natychmiast wypuszczą.

— To już proszę jegomości — pocałował go w rękę, — samemu przykazać gospodyni.

— Nie wiem, gdzie ona jest, — tłumaczył się ksiądz.

— Idzie na łąkę, — szepnął, wskazując ręką.

— Niech sobie idzie — powiedział również cicho ksiądz. — Kluczów z sobą nie wzięła?

— Kto ją tam wie! — odparł Michał.

Gospodyni zniknęła na zakręcie drogi, ksiądz z Michałem wszedł niepostrzeżenie do jej pokoju, znaleźli klucze pod poduszką. Michał otworzył obórkę, krowę wyprowadził, zamknął, klucze odniósł, a jegomość położył je w tem samym miejscu.

— Michał, pamiętaj, żebyś ani pisał przed babą.

— To się wie, jegomościu... byle która z dziewczek...

— Są u siana. Baba będzie zła.

— Okrutnie! — dodał Michał. — Tyle że się nie dowie.

— Leć!

— Migiem jegomość, na odwieczarz będę w Zalasowej.

Michał dotrzymał słowa. Po zachodzie słońca zajechał na plebania Marcys. Bracia zamknęli się w pokoju, odczytali list matki, odgrążali się piekarzowi, pili wino, Magdusię nazywali głupią

dziewczyną zawiązującą sobie świat, i przysięgali, że na to nie pozwolą

Po wypowiedzeniu wszystkiego, co mieli na sercu, posłali po wikarego, rozłożyli stół i zaczęli się *prefer*, że aż radość brała.

O północy bracia, strojąc miny srogie, przejęci ważnością posłannictwa, odjechali na najbliższą stacją kolei — do Dembicy.

---

**P**ierwsza Magdusia zobaczyła przez okno braci idących ulicą. Proboszcz w długim granatowym płaszczu szedł żywo naprzód, za nim Marcys, trzymając w rękę torbę podróżną.

Po poważnej minie księdza brata odgadła burzę, przelekkła się i uciekła, nie mówiąc ani słowa matce. Nim bracia dotarli do sieni, zbiegła ze schodów i przez ogródek, oraz furtką w parkanie dostała się na boczną uliczkę, do mieszkania przyjaciółki.

Bracia weszli; matka się przeżegnała i rozwarła ramiona. Powitanie było serdeczne, lecz milczące i poważne.

— Przyjechaliście przecie,—odezwała się matka, tłumiąc wzruszenie. — Nie spodziewałam się was, pora nie na przejażdżki. Myślałam, że tylko pieniądze przyślecie.

— Jakie?—zawołał Marcys.

Ksiądz spojrział ostro na brata.

— Nie czytałeś mego listu?—spytała zdziwiona kobieta.

— Czytał, nie czytał, — rzekł lakonicznie ksiądz, — potem o tem. Naprzód niech mama pomyśli, aby synów ugościć. Zmęczeni jesteśmy, jak psy gończe po polowaniu. Całą noc oka nie zmrużyć i lecieć a lecieć...

— Dzieci, pocóżeście tak leciały?...

— O tem potem, — przerwał matce ksiądz. — Teraz napilibyśmy się piwa i zjedli chociaż po półtora łokcia kielbasy. Prawda, Marcyś?

— Prawda, — przyświadczył.

Ksiądz wyjął portmonetkę, kładąc na stole papierka. Matka pochwyciła szklany dzbanek, zarzuciła chustkę.

— Cóż to, mama nam będzie usługiwała? Gdzież Magdzia?—odezwał się Marcyś.

— Była tu przed chwilą, — rzekła matka.

Otworzyła okno od kuchni, przechyliła się, wodząc okiem po dziedzińcu i ogródku. — Magdziu, bracia przyjechali.—wołała.

Magdzia słyszała głos matki, wpadający do pokoju przyjaciółki, lecz się obie nie odzywały.

Nie było rady: matka musiała usłużyć dzieciom i pójść po piwo, kielbasę i rogaliki.

— Wiesz brat co? — odezwał się Marcyś po wyjściu matki: — Magdzia musiała uciec. Przyśięgam, że nas widziała. Ja się boję.

— Daj pokój strachom. Dziewczyna wie, że głupstwo zrobiła, i dlatego się wstydzi.

— Brat zapomina, że to nasza krew.

Roześmieli się jednocześnie.

Matka wróciła.

— Piwo, kielbasę i rogałe rozłożono na stole, w domu znalazło się masło i ser. Zaczęła się uczta we trójkę. Matka miała gust do piwa i wysoko rozwinięty smak na kielbasę. A wiadomo powszechnie, o ile piwo wywołuje apetyt.

— I cóż ten panicz, — spytał dyplomatycznie, przy trzecim kuflu ksiądz.

— A nic, — rzekła obojętnie matka. — Bywa i czeka.

— Na co? — ząchnął się Marcyś.

— Na pieniądze, — odparła.

Ksiądz spojrzeniem uspokoił brata.

— Podobno pan piekarz ma być przystojny? — rzucił pytanie.

Matka w odpowiedzi wzięła z komody kolorowaną fotografią, podając ją synom.

Rosły, barczysty chłop o ciemnej brodzie, w stroju tyrolskim, śpiczastym kapeluszu, obcisłych aksamitnych spodniach, spiętych zielonemi haftowanemi szelkami, o gołych kolanach i bia-



łych pończochach patrzył dobrotliwie na księdza i jego brata, jakby chciał powiedzieć:

— Zjedliście dom, oddajcie pieniądze...

Bracia zrozumieli niebezpieczeństwo, protekcją matki i zgodę Magdusi.

— Chłop, jakby z kamienia wyciosany, — rzekł ksiądz.

— Mówię wam: panicz, — przerwała ciszę matka. — I nie dziw, że Magdzia ma do niego serce, a rozum straciła. I mnie się on podoba, — dodała poważnie.

— A czy mama wie, że Magdzia odleciała narzeczonego?

Matka oniemiała.

— I to jakiego narzeczonego! — podchwycił Marcyś. — Ten wasz panicz ma trzysta papierków majątku, a nasz ma tyle na rok pensyi, do tego mieszkanie, ogród, drzewo — darmo, Dalej własnej ziemi parę morgów, a każdy mórg trzysta papierków wart?... Krowy i wszelki dobytek. W bawialnym pokoju kanapa i sześć stołków, dwa łóżka, dwie pierzyny, nakrycie na sześć osób, — Bóg wie nie co...

— Dość, kochana mamo, że wasz panicz to hołysz; a nasz to urzędnik, — dodał ksiądz.

Matka stojąc z zaplecionemi palcami, szeptała.

— Herr Jesu! Herr Jesu!...

W dramatycznych wypadkach życia używała wyrazów niemieckich.

— Jest za co dziękować Bogu,—dodał Marcycyś.

— I ktoż on taki?

— Nauczyciel, bogacz brat proboszcza w tej samej parafii, co i jego szkoła.

I znowu nastąpił szept matki:

— Herr Jesu, Herr Jesu! Dlaczego Magdzia nic nie mówiła?

— Bo głupia. Czy mama nie wie, że młode dziewczyny są głupie?

— Ach, jaka głupia!—zawołała matka, uderzając się dłonią w czoło.

— I do tego wszystkiego — dodał ksiądz, — nauczyciel nie wymawia nam, żeśmy dom zjedli.

— I nie chce posagu,—dokończył Marcycyś.

— Ja się nie wyrzekam pomocy siostrze, i dam te trzysta papierków, choćby mi przyszło się zapożyczyć, lecz niech wiem komu i na co?... Powiem mamie prawdę: nie byłoby mi przyjemnie mieć siostrę piekarsową.

— Jeżeli może iść za nauczyciela.

— Może, powinna i musi,—przerwał Marcycyś.— Tylko te romanse wybić jej z głowy.

— Romanse, prawda! te romanse,—powtórzyła matka, nie mogąc wyjść ze zdumienia.

— Gdzie Magdzia? — spytał ksiądz. — Pewno nie chce przyjąć, bo się wstydzi.

— Richtig, wstydzi się,—dodała matka.—Ależ co za głupia dziewczyna, żeby nie pisnąć słówka!

— Skryła się, a my czasu nie mamy.

— Co? co? Jakiego czasu?

— Musimy wracać. Ja do szkoły. Wyjechałem bez urlopu.

— A ja do parafii, do owieczek,—dokończył ksiądz.

— Richtig, — szepnęła matka, — nie macie czasu.

— Magdusia nie przyjdzie, poszlij mama po ciotkę.

— Dobrze, trzeba, — mówiła zafrasowana. — Ale jak to będzie? bo my już trzy miesiące nie mówimy do siebie.

— Przemówicie po trzech miesiącach,—zawołał wesoło ksiądz.

— Richtig! Ale czyby nie mogło się bez niej obejść?

— Nie obejdzie. Mama pozwala Magdzi robić, co chce, a to dziewczyna głupia.

— Głupia!—powtórzyła smutnie onieśmielona matka. Idź ty, Marcys, do ciotki; ja sama nie pójdę.

Gniew ją opanował raptownie, oczy zabłysły.

— Co ona ma do mnie i do moich dzieci! Ja nauk nie potrzebuję. Nauki mam co niedziela z ambony—a jej odemnie wara.

Ksiądz wyprawił Marcysia po ciotkę, podał matce kufel, tręcili się, wypili, przekąsili kiełbasą, i burza przycichła.

— Gdyby nie o los mojej siostry chodziło, tobym na oczy nie chciał widzieć ciotki. Ale cóż, kiedy ona jedna ma rozum i da radę Magdzi!

— Prawda,— przyświadczyła matka. — Tylko się z nią bardzo nie wdawajcie.

Oczy jej znów zabłysły złowrogo, a na bladoniebieską twarz wystąpiły różowe plamy.

Magdusia ukryta w pokoju przyjaciółki widziała, jak Marcys wybiegł z domu, szedł żywo w stronę mieszkania ciotki, a za chwilę z nią wracając, rozprawiał i zamaszycie rozkładał ręce a ciotka z zaciśniętymi ustami słuchała. Domyśliła się zamachu stanu, i w połowie zrozpaczona, a więcej jeszcze zaciekawiona poszła do fabryki.

— Choćbym miała tydzień siedzieć u przyjaciółki, nie wrócę do domu, póki się nie dowiem, co chcą ze mną zrobić. Biedny Wilhelm, jak, on będzie rozpaczał, ile cierpiał! Ja się boję o niego.

Obawa rozpaczki Wilhelma napawała ją zasłużoną dumą, podnosząc własną wartość.

Nie czekała jednak tygodnia. Wieczorem wyprawiona przyjaciółka wróciła, niosąc wieść, że bracia odjechali, lecz natomiast została w domu ciotka. Kufer, własny kufer Magdusi, stał na środku pokoju, ciotka i matka układały w nim bieliznę.

Tego już było za wiele. Do kufra Magdusi

w czasie jej nieobecności kładą jej bieliznę! I kto jeszcze ją kładzie? Ciotka! Ta sama ciotka, która prócz wymówek i nauk nie miała dla niej nigdy nic, marnego dobrego słowa... Zawrzała gniewem, uczuła się obrażoną i upokorzoną, zapomniała czekać na moście na Wilhelma, pobiegła przez ulicę, nie patrząc na nikogo.

Zadudniło na schodach, drzwi się otwały z trzaskiem, — weszła Magduś. Na środku pokoju stał otwarty kufer, do połowy wyładowany bielizną, a matka jej i ciotka, jak gdyby dwie najlepsze przyjaciółki, siedząc za stołem przy kufiach piwa, rozprawiały głośno i śmiały się.

Magdzia stanęła, jak wryta, zaledwie mogąc zdobyć się na zapytanie:

— Co to jest?

— To—odpowiedziała matka energicznie,—że jesteś głupia.

— Ja? ja?—powtórzyła.

— Ty, ze swojemi romansami, ze swoim piekarzem, mit twojem alles.

— A mama?

— I ja także byłam głupia, żem ci się dała za nos wodzić.

— Przez co?

— Milcz! — krzyknęła matka, rozdrażniona piwem i dobrze przygotowana przez ciotkę.

— Za co?

— Za to, żeś mnie matkę oszukała, żeś ucie-

kła od braci, żeś sprowadziła piekarza, takiego, co ma majątku trzysta papierków, richtig tyle, co nauczyciel pensyi na rok.

— To prawda, — dodała poważnie ciotka.

— Ludzie, czego wy odemnie chcecie?—szepnęła przerażona Magdusia, łamiąc ręce.

— My niczego, tylko ty od nas niczego nie chcesz,—odparła ciotka.

Dziewczyna zbita z tropu straciła pewność siebie.

— Ja? a czego ja chcę?..

— Trzystu papierków dla swego piekarza!—zawołała matka. — Ksiądz brat je daje, ale na wyprawę, dla piekarzy niema nic, ani grosza, ani złamanego grosza!

— Dajcie mi pokój! — krzyknęła gwałtownie dziewczyna.

Otworzyła szafę, wyrzucając z niej suknie. Ciotka spokojna i chmurna zbierała je i składała na łóżku.

Schody pod naciskiem męzkich kroków zakrzypiały. Matka szybko otarła oczy, ciotka ściągnęła groźnie brwi, Magdusia szybko zamknęła szafę, i stojąc przed lustrem, powoli zdejmowała kapelusz. Drzwi się otworzyły — Wilhelm Kumler przestąpił próg, zdjął cylinder, i patrzył poważnie, przenosząc wzrok z matki na ciotkę i Magdusię.

Magdusia nie śmiała się obejrzeć, widząc w lustrze jego twarz poważną i smutną.

— Jakże ten człowiek okropnie cierpieć będzie!

Myśl ta przynosiła jej pewną ulgę. Znalazł się przecież ten, który dla niej umie i chce cierpieć. Przeczucia jej sprawdziły się.

— Dobry wieczór,—rzekł Wilhelm.

— Dobry wieczór,—odpowiedziały mu jednocześnie matka i ciotka. Magdusia odwróciła się od lustra, wyciągając na przywitanie rękę. Przysunęła krzesło, Wilhelm jednak nie usiadł, patrzył na kufer, wstrząsał rozpaczliwie głową i po dość długim namyśle rzekł:

— Panna Magdalena ucieka?

— Ależ nie, — tłumaczyła córkę zakłopotana matka.

— Nic nie zrobiła takiego, aby miała uciekać,—dodała ostro ciotka.

— Jedzie,—rzekł Wilhelm, wskazując na kufer.

— Nie jedzie, ale wraca z kądem przyjechała,—stanowczym tonem głosiła ciotka.

— Czy to wszyscy jeżdżą tam, z kądem przyjechali? Panna Magdalena wróciła do matki i do swego domu.

Na tak postawioną kwestyą ciotka nie znalazła na razie odpowiedzi. Magdusia spuściła oczy,

matka pokonana spokojem i logiką bruneta, wzdychała.

— Cóż zrobiłem?—przerwał ciszę Wilhelm.

Nikt nie wiedział, co odpowiedzieć. Magdusia zaczęła płakać.

Matka wzruszona rozpaczą Wilhelma i łzami córki, wezwała w pomoc dyplomacyą.

— Ależ Magdzia jedzie na dwa tygodnie do księdza brata. Odpust u niego, trzeba się przygotować. Wirklich! — dodała dla powagi, mrużąc na ciotkę.

Magdusia zrozumiała wybieg, i chcąc złagodzić rozpacz Wilhelma, otarła oczy. Ciotka, która mimo ciągłych awantur, nic nie robiła, jak się wyrażała arystokratycznie „mit Skandal“, podjęła rzuconą myśl i do niej się zastosowała.

— Niema się czego gniewać — rzekła (nie uznawała rozpaczy, mając ją za rzecz skandaliczną).—Narzeczone wyjeżdżają, i ja gdy byłam narzeczoną, wyjeżdżałam dwa razy do Fridka, bawiłam po miesiącu i wracałam. Magdzia może wyjechać raz, i to nie będzie żaden skandal.

— Wirklich,—rzekła poważnie matka, dumna, że jej myśl tak dobrze zrozumiano.

Wilhelm usiadł zamyślony. Przeczuwał zdradę, lecz milczał. Widocznie nie chciał głośno wyjawiać swych podejrzeń.

— Byli tu synowie pani—zaczął po namyśle,—i nie widzieli się ze mną. Cóż to, ja jestem łaj-



dak? — Powstał. — Niech mi dowiodą, że jestem lajdak!—zawołał z mocą, uderzając pięścią o stół.

— Nie dowiodą!—zawołała przerażona Magdzia, wyciągając ręce.

— Wirklich! — powtórzyła matka, — nie dowiodą. Nie mają tego w głowach.

— A to dopiero byłby skandal, aby bracia Magdusi szukali pana!—odezwała się ciotka.

Należało dać znać.

— Kiedy—przerwała matka—wpadli jak po ogień. Nie miałam kogo posłać do fabryki po Magdusię, i jak Pana Boga kocham, nie widzieli jej.

— Przysięgam, że się ze mną nie widzieli,—powtórzyła za matką Magdusia.

— Panna Magdalena nie czekała na mnie, jak codziennie, przy moście.

Ciotka załamała ręce.

— Śpieszyłam się do braci, lecz już wyjechali.

— Dadzą trzysta papierków za dom, co go zjedli?...

Ciotka miała ochotę wybuchnąć, lecz się bała skandalu.

— Wirklich!—rzekła matka.

Używała tego wyrazu w ważnych okolicznościach, a najczęściej w kwestyach dyplomatycznych.

— Kiedy tak, to dlaczego panna Magdalena wyjeżdża?

-- Nie wolno jej?—spytała ciotka.

-- Może pieniądze przywiezie, — zdobyła się na heroiczne kłamstwo matka.

Wilhelm spojrział na Magdusię; dziewczyna uśmiechała się smutno.

W kuchence zaczęło kipieć. Wypadek ten przerwał indagacye Wilhelma, zażegnał burzę. Ogólna uwaga skierowała się na kuchenkę. Gospodynie pobiegły ratować ulatującą z imbryczka kawę. Wilhelm i Magdusia zostali sami.

-- Prawdaż to?—spytał Wilhelm.

Magdusia nie chciała kłamać. Nadto uznała, że rozpacz, czarna rozpacz Wilhelma zmniejsza się, i dlatego powiedziała:

— Podobno.

— Co to znaczy „podobno“ — Spojrział na otwarty kufer do połowy napełniony bielizną: — Oszukujecie mnie.

— Ależ nie, — protestowała dziewczyna.

— Kto jedzie na dwa tygodnie, nie zabiera wszystkiej bielizny.

— Ciotka ją tu włożyła.

-- Co ciotka! co tam ciotka! -- odezwał się głos z kuchni.

— Nic, nic ciociu, — uspakajała udobruchana Magdzia. — Mówię, że ciocia kładła bieliznę do kufra.

Wilhelm nie odznaczał się zbyt lotnym umysłem, mimo to wietrzył zdradę, stał zamyślony i zgnębiony.

— Ach! jak on cierpi! jak okropnie cierpi!— myślała Magdzia.

— Panno Magdaleno, musimy się widzieć sami, bez świadków. Jutro na moście...--dodał ciszzej.

Dreszcz mimowolny przeszedł Magdusię. Przeżucia złowrogie ścisnęły jej serce.

— Czego on chce odemnie? co myśli ze mną zrobić?—zadawała sobie w duchu pytania.

— Trzeba coś postanowić, albo skończyć.

— Co kończyć? — myślała Magdzia, — co on chce skończyć?

Damy wróciły z kuchni. Jedna niosła na tacy szklanki napełnione kawą, druga rożki. Widok kawy złagodził ponurość Wilhelma. Ze skrupulatnością dyurnisty maczał rożki w kawie i zjadał jeden po drugim.

Uroczyste milczenie, zakłócanie uderzeniami łyżeczek o szklanki, trwało tak długo, że namiętności miały czas przyciechnąć.

Wilhelm po kawie odsiedział swoją godzinę, trzymając się w przyzwoitej powadze i spokoju. Nareszcie pocałowawszy matkę w rękę wyszedł.

We drzwiach skinął na Magdusię. Dziewczyna, wiedzona uczuciem i litością, wyszła za nim.

Na schodach objął ją w pól i przycisnął do piersi. Magdusia przeczuwała, że się z nim żegna na wieki, i nie bronila się.

— Jutro po fabryce na moście,—szepnął.

— Dobrze,—odpowiedziała cicho i wróciła do pokoju.

Ciotka z matką rozmawiały zafrasowane.

— Bójcie się Boga! — szepnęła Magdzia, zamykając drzwi — ten człowiek gotów sobie co złego zrobić, i będzie nieszczęście.

Matka i ciotka przerażone powstały.

— Gdyście były w kuchni—mówiła Magdzia,—wstał, przyszedł do ściany i zaczął głową mur rozbijać.

Ciotka i matka spojrzały na ścianę, szukając śladów jej rozbicia; Magdusia ocierała oczy chustką.

— Okropnie cierpi, okropnie!—szeptała.

— Wię cóż na to poradzimy, moje dziecko?—przemówiła ciotka. — Bracia nie dadzą złamane-go grosza. Bardzo to pięknie dla panny, że ją tak mężczyzna kocha...

— Szkoda, że ksiądz brat nie dał tych trzystu papierków.

— Bo ma rozum,—przerwała Magdusi ciotka.

—Ma rozum i chce twego szczęścia.

— Richtig!—przyświadczyła matka.

— Szczęścia chce twego — powtórzyła ciotka,—aleś ty jeszcze za młoda, aby to rozumieć.

Mój Boże, gdybym to ja była na twojem miejscu? Ludzie w Galicyi w każdym stanie dobrze żyją i wesoło się bawią. Ty to lepiej wiesz odemnie. A u nas co? Kilkunastu bogaczy i nędza. Co najwięcej każdego stać na *swój* kufel piwa. W Galicyi piją wino — mój Boże!... Galicya wesoły kraj, ty to lepiej wiesz niż ja, i nie wiem dlaczego sobie chciałaś zawiązać świat.

Magdusi stanął w myśli jarmark w Tuchowie, odniesione zwycięztwo nad Franczykowską. Widziała oczyma duszy mężczyzn pijących jej zdrowie na rynku, zazdrość Flaszkiwiczowej, własne upojenia, gdy tu w Białej któż na nią patrzy? kto się nią zajmuje, chociaż wdzieje kapelusz z welonem?... Zrodzona tęsknota do Galicyi, zaczęła nurtować w jej sercu, a w głowie przemknęła myśl, że może piekarzowi się zdaje, iż żeniąc się z nią, robi jej łaskę.

Zakipiała gniewem, lecz wiara i przekonanie, że piekarz cierpi okropnie, że życie jego zagrożone, złagodziły gniew. Odepchnięta myśl odleciała.

Tymczasem Wilhelm ze spokojem filozofa poszedł wypić *swój* kófel piwa i z przyjaciółmi zagrać parę partyi w domino.

Nazajutrz przed wieczorem stał na moście w długich do kolan butach. Stał i czekał,

lecz czekał napróżno. Magdusia nie przychodziła.

Pora kawy zbliżała się, słońce majestatycznie ozłacało ciągnące się od południa góry. Wilhelm stał. Postanowił stać, póki ostatnia dziewczyna z fabryki nie przejdzie.

Wytrwał w postanowieniu, przeszły wszystkie i wtedy dopiero skręcił na ulicę, do domku Magdusi, podjezzonego przez jej braci.

Na widok wchodzącego Wilhelma kobiety, porozumiały się wzrokiem. Brunet wydał im się bladym, ponurym i złamanym. Gdy całował rękę ciotki, nieprzyjaciółka skandalu uczuła dla niego litość; a gdy witał się z Magdusią, dziewczyna miała łzy w oczach i przysięgła zemstę zaborowskiemu nauczycielowi.

Długie buty zwróciły uwagę kobiet. Pierwsza spostrzegła je Magdusia. W prawej cholewie widocznie było coś schowanego, odstawała mocno.

Przestraszona lecz troszkę szczęśliwa, wywołała Magdusia ciotkę do kuchni. Za niemi poszła matka. Kobiety poczęły szeptać o długich butach Wilhelma, a to coś, co miał w cholewie, zdecydowało, że nic innego tylko... rewolwer.

Matka przeżegnała się, powtarzając cicho:

— Herr Jesu! Herr Jesu!

Ciotka ręce załamała z obawy skandalu, Magdusia rozkładaniem rąk dawała znać, że rozpacza.

— Może ja tu niepotrzebny? — odezwał się z drugiego pokoju Wilhelm.

Kobiety wybiegły z kuchni. Kufer, aby nie raził wzroku Wilhelma, rano usunięto.

— Kiedyż panna Magdalena jedzie? — spytał brunet, utkwivszy wzrok w dziewczynę.

— Jeszcze niewiadomo, — podchwyciła matka, usiłując utrzymać się w dyplomatycznej roli.

— A kiedy wróci?

Zdawało się ciotce, że w zapytaniach Wilhelma kryje się lekceważenie. Mimo nienawiści do skandalu, usta jej zadrżały, w oczach błysły złowrogie płomyki.

— Cóżto? ciągniesz nas pan za języki i protokół chcesz pisać? Sędzią jeszcze nie jesteś, i chwała Bogu, nie zostaniesz nigdy.

Gdyby Wilhelm przemówił jeszcze jedno słowo, nienawidząca skandalu ciotka wpadłaby na niego, jak furya. Wilhelm, szczęściem dla niego, nie przemówił, lecz rękę włożył za cholewę buta. Ruch ten zmienił postać rzeczy. Magdusia rzuciła się ku niemu; ciotka skryła się za matkę; matka złożywszy ręce do modlitwy, szeptała:

— Herr Jesu! Herr Jesu!

Wilhelm również przerażony, oczy wytrzeszczył i rękę wyjął z za cholewy.

— Co to jest?

— Nic, nic! — uspakajała go Magdzia, — myślałyśmy... Sama nie wiem, cośmy myślały. Ciotko, cośmy myślały?

Magdzia była zmieszana.

— Że pan nie powinienes się pytać, — odpowiedziała ciotka.

— Czyż nie jestem narzeczonym panny Magdaleny?

— Richtig! — podchwyciła matka.

— Mam więc prawo ciągnąć protokół.

— Wirklich! — dodała matka.

Ciotka pod grozą rewolweru ukrytego w cholewie milczała.

Atmosfera towarzyska stała się duszną; napięcie widać było w rysach twarzy, w głosie i ruchach trzech osób. Jeden Wilhelm zachował spokój. W przekonaniu kobiet, był to ponury spokój.

— Czyby panna Magdalena nie poszła ze mną na spacer brzegiem rzeki? Ładnie tam, wziąć tylko grube trzewiki, — pokazał na swoje buty.

— Ja na spacer? — powtórzyła Magdzia przeżona. — Ja z panem?

— Przecież nic jej złego nie zrobię. A jeżeli się panna Magdalena boi czego złego, może iść pani ciotka, albo mama.

Kobiety popatrzyły na Wilhelma. wyraz jego



twarzy zdawał im się straszny. Spojrzały po sobie, były przerażone.

— Poszłabym, lecz cóż? nie mam grubych bucików,—odparła Magdzia.

— Możemy pójść bitym gościńcem.

— Gościńcem,—powtórzyła Magdzia.— Mama pójdzie?..

— Mam ciągnąć moje stare nogi—i po co?

— Może ciotka?

— Ja po spacerach od śmierci mego nieboszczyka męża nie chodzę,—odparła ciotka o ile mogła i umiała łagodnie.

Magdzia spojrzała znacząco na Wilhelma i wyszła. Brunet pożegnawszy matkę i ciotkę, poszedł za nią. Spotkali się w ogródku.

— Jutro o dwunastej wyjeżdżamy. Bądź pan na kolei, kup bilet do Diedzic, pojedziemy razem. Do widzenia!

Podawała mu rękę. Chciał ją objąć i przycisnąć wyrwała się i uciekła. Było jeszcze widno.

— Jezus, Marya!—jak okropnie cierpi!—zawołała, wchodząc do pokoju. — Jak on cierpi!.. Ten spacer... pewno chciał sobie i mnie w łeb strzelić z rewolweru.

— Magdeczko, miej rozum, — rzekła matka.

— To też go mam, ale mi żal człowieka. Pewno sobie życie odbierze.

— Masz naukę, zaczęła ciotka. — Nie należało wracać do Białej i robić głupstw.

Magdzia była innego zdania. Według niej właśnie należało. I ona nareszcie ma *swój* romans, znalazła pięknego bruneta, który o mało w łeb sobie dla niej nie strzelił, a może i strzeli.

— Co należało, to należało — odparła ciotce ostro, a to wiem, że trzeba wyjechać. Powiedziałam mu, że jadę o dwunastej, tymczasem musimy wyjechać o piątej rano.

— Musimy—powtórzyła ciotka,—odprowadzę cię do Dziedzic.

— Myślicie, że ja tu sama zostanę? — rzekła matka,—żeby się na mnie rzucił?

— Pojedziemy wszystkie,—zdecydowała Magdusia.

Kobiety rzuciły się do pakowania, a Wilhelm szedł ulicą na *swój* kufel piwa i *swoję* partycją domina. Na moście stanął, schylił się, sięgnął za cholewę buta, wyjął chustkę, otarł nos i znowu chustkę za cholewę schował. Nosić chustkę za cholewę był to wielki szyk w przekonaniu młodzieży Białej, Frydka i Cieszyna.

— Sztuki ze mną robią — rzekł poważnie, — bracia zjadłszy dom, nie chcą dać, dziewczynę wywożą... Niechby ona została moją żoną, pokazałbym im. Muszę ją nauczyć, jak ma gadać z braćmi. Dziewczyna zakochana, że aż piszczy, sama nie wie, co robi. Boi się mnie dotknąć, żeby się nie spaliła, jak zapalka, a ja się boję, żeby nie zwaryowała.

Dalszy ciąg monologu wstrzymały drzwi piwiarni. Wilhelm wszedł, przywitał się z przyjaciółmi, poprosił o *swój* kufel piwa i zasiadł do partyi domina.

Nazajutrz o oznaczonej godzinie, stawił się na dworcu kolei żelaznej, przepatrzył wszystkie wagony trzeciej klasy: Magdusi nie znalazł. Pośługacz kolejowy powiedział mu, że we trójkę dziś rano wyjechały.

Wilhelm zaklął siarczyście, uważając postępek Magdusi za żart i urągowisko, a szydzić z siebie nie pozwalał nikomu.

— Noga moja więcej tam (to znaczyło w domu matki Magdusi) nie postanie! Choćby mnie prosiły na klęczkach, żebym wrócił, nie wrócę...

Czy ona znajdzie lepszego i przystojniejszego męża? Głupia — niech go szuka! niech szuka! — zaśmiał się szydersko. Nic, tylko zjadłszy dom bracia powiedzieli, że nie dadzą pieniędzy. Ja bym was nauczył! Bo że dziewczyna kocha, to nie trzeba dwa razy o tem mówić...

Wiara w gorącą miłość dziewczyny uspokoiła go nieco. Magdusi przebaczał, braciom groził.

---

## VI.

**J**uż od trzech dni na plebanii w Zawodzie wielkie były przygotowania. Gospodyni, narzekając na zbytki i rozrzutność jegomości, piekła zawzięcie; sprowadzony kucharz gotował. Na weselu miały być lody ananasowe. Mówiono o tem głośno, i dziwiono się takiej pompie i wspaniałomyślności.

Jegomość na nic nie żałował.

— Jedną siostrę mam, pierwsze wesele sprawiam na plebanii, niechajże je ludzie pamiętają choćby dziesięć lat!

— Gdyby nie to, że Magdusia taką partya robi — mówiła gospodyni przed rządczynią, ani bym na połowę zbytków nie pozwoliła. Słyszał tu kto, moja pani? — lody ananasowe na weselu dziewczyny, co ma posag — pani wie gdzie i jaki...

Roześmiały się obie.

Magdusia tak była zaabsorbowana weselem, ślubną suknią i welonem zamówionym z Krakowa przez inżyniera jako prezent ślubny, że nie miała czasu myśleć o Wilhelmie i jego rozpacz, jak również o pływających włosach, płaskiej twarzy i długim nosie narzeczonego. Cała oddawała się wrażeniom chwili. Flaszkiwiczowa przysłała tort, pani przedsiębiorczyni, najbliższa sąsiadka, imbryk i sześć filiżanek. Wszyscy inni zaproszeni goście mieli podarunki przywieźć w dzień wesela.

Suknię ślubną robiła krawczyni w Dembicy! Magdusia jeździła codziennie przymierzać. Dużo jej na tem zależało, aby być w dzień ślubu piękną, i pokazać nauczycielowi, jaką mu wielką łaskę robi, chociaż posagu nie wnosi.

Nareszcie nadszedł dzień oczekiwany przez wszystkich. Nieśmiała, wzdychająca, a zarazem rozpromieniona panna młoda, w papilotach nad czołem, w białym kaftaniku i w białej wykrochmalonej spódnicy, biegła po plebanii, wydając ostatnie rozkazy.

Na dziedzińcu, od strony stajen, wydobywały się niewyraźne dźwięki, pochodzące od strojenia instrumentów. Magdzia wzruszona, uciekła do swojego pokoiku. Za chwilę w kurytarzu powstał szmer i szepty. Serce Magdusi biło szybko, czuła że blednie.

Nareszcie muzyka ucięła mazura. Po pierwszej przegrywce chór zaśpiewał weselną piosnkę o kocie i kotce:

. . . . .

. . . . .

Niechaj kotka nie swywoli,

Bo ją . . . . .

Na zakończenie, galopada smyczka po strunach i szarpnięcie struny basowej paznogciem, jako naśladownictwo bębna.

Drzwi się otworzyły: na czelemuzyki stal promieniejący inżynier, bracia ksiądz i nauczyciel, wśród nich pan młody w czarnym długimi surducie i białej krawatce, blady, płaski i płowy. Magdusię przeszedł dreszcz, poczęła wołać:

— Nie wolno, nie wolno! wynosić się panowie.

— Oprócz mnie jednego, — odparł inżynier, przestępując przez próg. W jednej ręce trzymał bukiet, w drugiej pudełko z welonem za siedem guldenów.

— Panu, jako żonatemu i starości, pozwalam, — rzekła cicho Magdzia, otulając się kaftanikiem.

Drzwi się zamknęły. Muzyka raz jeszcze zagrała ciętego mazura, i zamilkła odprowadzona przez jęzomością na posiłek do kuchni.

— Jak honor kocham, — rzekł inżynier, gdy Magdusia drzącemi rękoma z pudełka wyciągała wieniec upięty długim welonem, — nie taką partya powinnaś, pani zrobić.

Magdzia westchnęła.

— Lecz cóż, wściekle czasy! — mowił dalej inżynier, — młodzieży niema, panny teraz nie mają, formalnie nie mają za kogo iść. Cóż to za kawaler ten nauczyciel?!

Magdusia zaczęła ręką obcierać suche oczy.

Inżynier, nie tylko wielki znawca kobiet, lecz zarazem ich gorący wielbiciel, ujął rękę Magdzi, pocałunkami ją okrywając.

— Mając taki klejnot, jakże go powinien kochać, pieścić i szanować! Co za śliczna rączka, a jaka szyjka!...

Drzwi się z hałasem rozwarły, weszła krawczyni, niosąc w serwetę owiniętą ślubną suknię.

— Mówiłam panience że się nie spóźnię — a co?

Inżynier, przeklinając w duchu krawczynię, wyszedł. Żydówka i Magdzia zaczęły oglądać mirtowy wieniec i welon.

— Aj waj, co to za śliczności! A ten inżynier bardzo rarytny pan, a że lubi baby, to niech mu będzie na zdrowie. To pan, nie taki jak nauczyciele.

Żydówka przez delikatność, nie chciała mówić w liczbie pojedynczej.

Magdzia jednak zrozumiała przymówkę,—załcisnął jej serce, a gniew buchnął krwią do twarzy.

— Stało się!— rzekła rozpaczliwie, ściągając gwałtownie kaftanik.

— A włosy?

Włosy były ubrane w papiloty.

— Niech ja te panięskie włosy ostatni raz uczeszę.

Magdzia z rezygnacją wdziała napowrót kaftanik, podając krawczydni grzebień.

— Takich pięknych włosów, miękkich jak jedwab dawno już nie czesałam. Co taki nauczyciel z nimi będzie robił? Na co to jemu?...

— Magdziu, śpiesz się, goście się zjeżdżają,— zawołał przeze drzwi Marcyś.—Przyjechali nadleśniczowie z córką i synem, sędzia, przedsiębiorcy, Szeligowie, bój się Boga nie bałamuć.

— Będzie na czas,— odpowiedziała wyniośle krawczydni.

— Ten chciałby mnie wygnać jednym tchem,— szepnęła Magdzia.

— Za „takiego“ dosyć i za dziesięć lat,— dodała żydówka.

Papiloty zostały zdjęte, głowa uczesana podług ostatniej mody. Magdusia po raz drugi zdjęła kaftanik.

— Aj, aj, co za bieluchne ciałko!—Żydówka zaczęła cmokać.—Czy on się na tem pozna? Co



jemu po takich rarytnych rzeczach? — dla niego prawie Maryny i Kaśki.

Podniesiona spódnica ślubnej sukni przesunęła się przez uczesaną głowę, zatrzymując się na biodrach. Magdusia spojrzała na powłóczysty ogon.

— Niech zapnę, niech tylko zapnę, — wołała autorka sukni. — A teraz proszę panny Magdzi postąpić parę drobnych kroków ku mnie, tylko ostrożnie i drobniutko.

Magdzia postąpiła, żydówka mlaskała ustami i głową kręciła.

— Jeszcze takiej panny młodej nie widziałam. Co to będzie po wdzianiu stanika? a po włożeniu welonu? to już i mówić nie chcę.

Stanik zapięty pod szyję z obszytą białą tiulową kryzą i welon z mirtowym wieńcem dopełniły tualety.

Krawczyni wpadała z zachwytu w zachwyt.

— Oni wszyscy jak są, nie warci takiej sukni i takiej panny młodej.

Magdzia, wierząc w to, co mówiła żydówka, rosła w dumę. Nastąpiła ostatnia część tualety: wdzianie białych rękawiczek.

Zastukano do drzwi.

— Proszę, — zawołała wesoło Magdzia.

Drzwi się otwarły, na progu zajaśniała materia mieniącej się popielatej sukni pani przedsiębiorczyni.

— Niechże ja pierwsza powitam, ucałuję i pobłogosławie pannę młodą. Obyś moja Magdzia była szczęśliwą, szczęśliwszą niż ja!—westchnęła i chusteczkę przycisnęła do oczu. Ujęła ją za ręce, pocałowały się. — Ślicznie, elegancko, gustownie. — Zwróciła się do krawczyni: — Pani Blaumfeld, winszuję ci.

— Dziękuję pani,—odparła z odcieniem protekcyi żydówka.

— Obróć się, moje dziecko.

Magdzia się obróciła, postępując parę drobnych kroków.

— A teraz niechże przychodzą bracia,—dała rozkaz krawczyni panna młoda.

— Mam myśl, — przerwała przedsiębiorczyni.—Wejźdź raptownie i stań pośród nich—oniemieją! Przysięgam, że oniemieją.

Myśl przedsiębiorczyni podobała się Magdusi. Lubiała zachwycać i robić niespodzianki.

W pierwszym pokoju na kanapie siedziała Ewcia, obok niej pan młody i dwie družki w różowych sukienkach. W drugim za to pokoju wrzało. Brat jegomość i inżynier wśród gromady mężczyzn dowodzili. Wódka znikła z flaszek, a wędliny z talerzy. Dobry humor razem z dymem papierosów wypełniał pokój.

Marcys wbiegł do żony; Magdusia pewna piorunującego wrażenia, stanęła na środku pokoju,

przedsiębiorczyni we drzwiach. Marcyś ją pierwszy zobaczył.

— Patrzajcie—zawołał,—jaka Magdusia ładna! Dlaczegoż ty moja Ewciu nie byłaś tak ładną w dzień swego ślubu?

Pan młody podniósł wzrok na Magdusię, i nie ruszając się z miejsca, widząc smutek Ewci, ujął się za nią i rzekł:

— Któż to wie? może pani Ewcia była jeszcze ładniejsza.

Gdyby piorum spadł z nieba, nie zrobiłby tak silnego wrażenia, jak odpowiedź pana młodego. Ból i oburzenie zatrzęsły Magdusią, zalała się łzami.

— Dlatego, że nie mam posagu, już mi pan wymówki robisz. To Ewcia, co niedawno wdziała pańskie suknie, ma być ładniejszą odemnie?!... Wiem, jaką jestem, ludzie mi to powtarzają, sam pełnomocnik powiedział, że jestem ładną... A pan, pan!—zaczęła szlochać głośno i gwałtownie ścigać rękawiczki.

Przedsiębiorczyni oniemiała. Zachowanie się pana młodego przejęło ją zgrozą. Marcyś stał wystraszony.

Płacz Magdusi zagłuszył wrzawę w drugim pokoju. Brat jegomość wpadł do pierwszego pokoju czerwony i groźny.

— Wymawia mi że nie mam posagu, że jestem brzydka...

Łkanie dławilo ją.

Brat ksiądz chwilę patrzył jowiszowo na przykutego do kanapy pana młodego, aż nareszcie wskazując ręką na drzwi, zawołał:

— Jesteś pan fujara, wynoś się z mego domu!

Mężczyźni zgromadzeni we drzwiach, szmerem oburzenia poparli księdza brata.

Pan młody blady, powiódł ręką po czole, popatrzył na zgromadzonych we drzwiach mężczyzn, na ich groźne miny, powstał i wyszedł. Magdu się tuliła przedsiębiorczyni, Ewcia nie wiedziała co z sobą zrobić, Marcys stracił na pół przytomność—stał z otwartymi ustami.

— Niema wesela, ale jest bal—zawołał proboszcz, otwierając z hałasem drzwi od sieni. — Muzyka tuż.., polka!...

Muzyka ucięła polkę; jegomość wprowadził panią nadleśniczynę i przetańczył z nią. Bal został otwarty, młodzież rzuciła się do tańca.

Nauczyciel, przerażony i zgnębiony, nie mogąc się utrzymać na nogach, usiadł na ganku, oparł łokieć na kolanie, twarz ukrył w dłoniach i dumiał, a raczej wsłuchiwał się w szum wypełniający jego czaszkę. Gdy usłyszał muzykę, zerwał się, zawołał parobka, który go przywiozł, kazał mu zaprzędz, odszukać kapelusz i dogonić go.

Wydawszy rozkazy jednym tchem, biegł bez czapki drogą wprost do domu.

Przedsiębiorczyni uprowadziła płaczącą Magdusie do jej pokoju. Żydówka zaczęła wołać:

— A nie mówiłam, że on nie wart takiej panny? Coś mnie ciągle pikało, że dziś ślubu nie będzie—no i wypikało.

Ostrożnie zdjęto wieniec i welon. Magdzia rozbierała się gorączkowo. Po zawieszeniu ślubnej sukni w szafie, krawczyni podała lekką popielatą bez ogona. Przedsiębiorczyni wzięła przebraną pod rękę, wprowadzając do sali balowej.

— Wiwat, panna Magdalena!—zawołała młodzież.

Ksiądz brat pocałował ją w czoło.

— Moja Magdziu, w domu moim możesz siedzieć póki ci się podoba, a nie powiem ci marnego słowa.

Leśniczy stanął przed Magdusią, prosząc ją do tańca; ale nadleśniczy, nasłyniejszy tancerz na okolicę, uprzedził go. Magdusia zaproszona do tańca, zmieniała prawie bez odpoczynku kawalerów. Najdłużej i najczęściej tańczyła z leśniczym, przystojnym i rosłym brunetem. Widział to ksiądz brat, klepał leśniczego po ramieniu, i mówił mu:

— Śmiało, śmiało, naprzód!

Leśniczy całował jegomością w ramię i wracał do Magdusi. Przy kolacyi udało mu się zająć przy niej miejsce.

Wnoszono toasty. Nadleśniczy wznosił wielkim kielichem zdrowie panny Magdaleny, ciesząc się, że jeszcze ją widzi w panińskim stanie. Gdy przyszła kolej na leśniczego zdobył się na odwagę i pocałował sąsiadkę w rękę.

Po kolacyi tańczono do pierwszych brzasków dnia. Magdusia zmęczona i rozmarzona, zasnęła na swoim panińskim łóżku. We śnie majaczyło się jej dwóch brunetów. Stali obok siebie blisko, bardzo blisko, łączyli się, aż z dwóch zrobił się jeden wspaniały brunet, wyciągał do Magdusi rękę, a ona uśmiechała się do niego rozkosznie.

Przed południem przyszedł na plebanią pełnomocnik. Magdusia opowiedziała mu historią dnia wczorajszego, a proboszcz pokazywał siwe włosy na skroniach, na dowód, ile go te ciężkie przejścia kosztowały.

Pełnomocnik śmiał się sedecznie. Magdusia widząc jego dobry humor, zaczęła go prosić o posadę w skarbie dla leśniczego ze Skrzyszowa. Pełnomocnik w wyborzym humorze, przyrzekł wakujące miejsce w Wielączy obsadzić młodym a przystojnym brunetem.

Radość była wielka, Magdusia klaskała w ręce. Rada była wszystkich całować, lecz nie miała kogo. Proboszcz żałował tych kilku siwych włosów, zdobytych przez jedną noc, lecz tego niestety, odrobić już nie było można.

Młody leśniczy ze Skrzyszewa został zdecydowanym konkurentem Magdusi. Leśnictwo w Wielączy dawało rocznej pensji pięćset papierków i dwanaście morgów gruntu. Łaska pełnomocnika była wielka!

Wprawdzie leśniczy nie jest urzędnikiem, jak nauczyciel — mówiła Magdzia, — ale za to pod względem *bytu*, los nauczyciela nie da się porównać posadą leśniczego w skarbie. I jak się wezmą—dodawała w zapale,—to na rok dwa wypasione wieprze zabiję i dwa familjne festyny wyprawię.

Jedno tylko miała zmartwienie Magdusia. Leśniczy nie był tyle paniczem, co piekarz. Na imieninach Magdusi wyprawianych solennie na plebanii, wszedłszy, kapelusz i laskę położył na stole. Twarz Magdusi oblała się szkarłatem. Chodziła po kolei do wszystkich, przeprasząc za złe wychowanie narzeczonego.

— Ja go wytresuję i nauczę elegancyi,—dodawała. — W tydzień po ślubie będzie już wiedział, jak ma uszanować moich gości.

Po otrzymaniu posady, leśniczy brunet chciał natychmiast ogłosić zapowiedzi. Ksiądz brat jednak nie pozwolił, dając narzeczonemu tydzień jeszcze czasu do bliższego poznania.

Magdusia już od ośmiu lat zajmuje miejsce pani leśniczyny na Wielączy. Wprawdzie dotąd ani razu nie udało się jej wyprawiać dwóch festynów familijnych przez rok, ale za to trzy razy od zamążpójścia wyprawiała chrzciny z muzyką i tańcami.

W określeniu swego powodzenia używa dyplomacyi, odziedziczonej po matce, mówiąc z miłą kotki wygrzewającej się na słońcu:

— Oby gorzej nie było!

W pokoju bawialnym pani leśniczyny znajduje się fotografia kolorowana za szkłem w drewnianych ramkach, wystawiająca młodego mężczyznę w stroju tyrolskim.

Na pytania ciekawych, kto jest przystojny brunet?—Magdusia, spuszczać oczy, mówi cicho z półuśmiechem smutku, a półuśmiechem dumy:

— *Będący* mój narzeczony...

Braciejowa,  
d. 8-go października r. 1888-go.

K O N I E C.



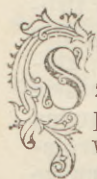


# PIERWSZY UTWÓR

NOWELA.



## I.



Szkoła murowana, biała jak śnieg, stała naprzeciw drewnianego kościoła. Z okien jej widać było zielonkowate, mchem porośnięte sztachety, za niemi stare lipy i szare ściany kościółka, dźwigające spiczasty dach i nową, czerwoną wieżyczkę sygnaturki, zgrabną, lekką, lecącą do nieba, dumę gminy i gminnego cieśli. Z jednego tylko okna w poprzecznej ścianie szkoły umieszczonego w górze, widać było niebo i chmury po niem lecące i kawał ziemi, żółte, smutne piaski, na nich złoty, świecący od promieni słońca, pachnący łubin, karłowate sosny, za sosnami siną smugę lasu.

Okno to oświecało pokój na strychu, przeznaczony dla drugiej nauczycielki. Lecz druga nie przychodziła, nie było jeszcze na nią etatu, zajmowała go pierwsza, odstąpiwszy mieszkanie na dole matce i młodszej siostrze wraz z całym gospodarstwem. Zamożność była — w ogrodzie róże i drzewa, których pnie malowane wapnem świeciły jaskrawą białością wśród słońca. W pokoiku na strychu okno było otwarte, przy

nim stół, przy stole siedziała młoda dziewczyna zapatrzona w własny rękopis. Czytała półgłęboko, dreszcze rozkosznego wzruszenia wstrząsały nią, rumieńce wybiegały na twarz, oddech nie mógł zdążyć bicia serca, radość rozsadzająca piersi zamało miała w płucach powietrza.

— Czuję—szeptała, że to jest ładne, serdeczne, prawdziwe! Boże, dziękuję ci za tę odrobinę talentu, jaki mi dałeś i przez tę odrobinę zrobiłeś mnie chwilami szczęśliwą. Mogę tworzyć, co za rozkosz! mogę żyć sama z sobą, mogę być sobą. Chodźcie tu do mnie wszyscy, których ulepiłam z tęczy mej wyobraźni i poczucia prawdy. Józiu, Karolu i ty dobra, łagodna Teofilo, ty siadaj obok mnie—zapoznana królowo, wielka pani ducha, tobie oddaję pierwsze miejsce w mem sercu.

Drzwi się rozwarły, wpadło dziewczę o oczach jak bławat, o buzi opalanej od słońca i wiatru, poskoczyła do siostry, oparła ręce na jej ramionach i szeptała jej do ucha:

— Teci, ksiądz wikary już jest. — Mama przyrządza kawę. Zabierz ze sobą rękopis. Wikary zaciekawiony, zdaje mu się, że to są plotki z całej okolicy, powiedział, że nie odejdzie, póki nie usłyszy.

— Przyjechał też na welocypedzie nauczyciel z Polanki, pewno się zmówili z wikarym, aby razem słuchać twego utworu. Nauczyciel ma na nosie wielkie, niebieskie okulary, jak dwie plamy atramentu, uśmiecha się piekielnie, a wikary jakiś dumny, ma minę sędziego...

— Żałuję—szeptała Teci— że uniesiona sama nie wiem czem, pozwoiliłam, aby ich mama

zaprosiła. Stało się, przeczytać muszę, lecz mi jakoś wstyd... Czy mnie zrozumieją, czy odczują!?:. Takie już życie nasze...

Bronia zabrała rękopis, nauczyciel z wikarym oglądali go. Nauczyciel z przyzwyczajenia szukał w nim błędów, wikary patrzył na okrągłe litery, myśląc o niedzielnej kazaniu.

Weszła Teczka — powstali.

— Teraz już pani nie zfolgujemy, musisz przeczytać — zawołał wesół wikary.

— Ładnie pisane — rzekł nauczyciel — bez błędu — dodał.

— Jeszcze czego — nauczycielka i błędy, a to mi dobre!..

— Przeczytam po kawie — powiedziała Teczka.

— Po kawusi lepiej cię czyta i milej słucha.

Zasiedli do okrągłego stołu nakrytego czerwona serwetą — rozstawione filiżanki i noże zapowiadały kawę i chleb z masłem w niedalekiej przyszłości.

— No i paniusia tak wszystko z głowy, cały zapisała kajet? — rzucił pytanie nauczyciel.

— Nie obeszło się tam bez wzorków — zaczął wikary — domyślam się, organiscina, nauczyciel z Zawady, a może proboszcz, może dziedziczka z Jadownik, albo jej córki..

— Nie radzę paniusi zaczepiać proboszcza — szepnął nauczyciel — mógłby się zemścić, nie lubi dawać z siebie wzorków.

Teczka się zaśmiała.

— Może o mnie — pochwycił nauczyciel.

— O nikim w całej okolicy.

— Panna Teresa za dumna, aby się schylać do nas malutkich, których może za ledwo za

ludzi uważa, pewno pisze o samych hrabiach, albo hrabinach.

Wikary czuł się dotknięty.

— Przekonacie się panowie za chwilę.

— Czy to coś w rodzaju Kraszewskiego? — spytał nauczyciel.

— Nie wiem, może—ale sądze, że odmienne...

— A to pewno Lenartowicza?

Nauczyciel znał tylko z bieżącej literatury dwa rodzaje.

Rozbawiły Tecię te pytania, wywołując dobry humor.

Weszła Kaśka niosąc na tacy imbryk z kawą, śmietankę, mleko, chleb i masło, za nią postępowała matka dwóch dziewcząt, wdowa, zapracowana gospodyni — gościnna i dobra, łagodna i serdeczna.

Rozmowa zesła z literatury na swobodniejsze—szersze tory. Kawa, chleb i masło znikaly. Gdy w całości znikły, nauczyciel ocierając łakome usta, rzekł:

— Teraz jużesmy gotowi, możemy spokojnie słuchać.

Wikary z uśmiechem łaskawości podał Teci kajet. Dziewczę zbladło, krew widocznie spłynęła do serca. Spojrzała po zebranych, odwróciła kartę, zaczęła. Broncia nie śmiała odechnąć, nauczyciel przyszedł do przekonania, że to nie był rodzaj ani Kraszewskiego, ani Lenartowicza i w duchu zaczął lekcewyżić autorkę i jej utwór. Wikary tylko patrzył — słuch jego błąkał się w nieokreślonej przestrzeni...

Dziewczę rzuciło na papier krajobraz pełen świeżości i zapachu wiosny. Lecz cóż, kiedy nauczyciel i wikary zawsze w czytanych książ-

kach opuszczali opisy piękności natury, nie rozumieli ich, jakże mieli dziś słuchać czytania młodej dziewczyny?..

Za chwilę weszła Kaśka, pochyliła się nad starszą panią i zaczęła jej szeptać do ucha. Starsza pani również odpowiedziała Kaśce do ucha. Rozmowa szła w najlepsze, zmieniając się w półgłosny szept.

— Cicho—zawołała Broncia na Kaśkę.

Dziewczyna machnęła rozpaczliwie rękę i wyliciała z pokoju, Tecią, zdenerwowana czując, że nie jest słuchaną, czytała coraz ciszej i coraz prędzej. Skończyła pierwszy rozdział, kajet zamknęła.

Płaska, szeroka twarz nauczyciela z dwiema atramentowemi plamami na oczach, nic nie mówiła, żadnego wzruszenia, żadnej myśli była tak przedziwnie obojętna, jak starta tablica. Usta, jedynie usta głupkowato się uśmiechały..

Długa chwila głuchego milczenia.

Teci z gniewu i oburzenia łzy zaszklily się w oczach. Broncia zachwycony pierwszym rozdziałem, pocałowała siostrę w usta, szepcząc jej:

— Cudowne, boskie, słuchałabym całe życie. Teci, ta twoje Teofila, jak ja ją kocham!.. Józia, Karol, cała ta drużyna—ty jesteś prawdziwą pisarką.

— Tylko—rzekł spokojnie nauczyciel.

Oczy dziewcząt spojrzaly.

— Tylko, żeby panna Teresa za zbyt często nie kładła przymiotników przed rzeczownikami, Ot cobym radził.

Broncia rozśmiała się wesoło.

— A książkę wikary?—zwróciła się Teci do księdza.



— Ja, przyznam się, nie zrozumiałem czego chce ta Teofila i nie wiem jeszcze czy jest dosyć religijna.

— Mogę zaręczyć, że katechizm umie na pamięć—oddarła Tecię, zabrała kajet, skłoniła się i poszła na górę.

— Komu się to porywać na takie rzeczy — mówił cicho do księdza nauczyciel. — Nie takie rozumiemy, nie takie pióra, nie tacy ludzie, a po dziennikach ich niecuja, że niech Bóg obrania. Co się wydrukuje, czyta cały świat i cały świat sądzi o tem. Na takie rzeczy rwać się młodej nauczycielce?!.. Boże!

— Człowiek, gdy ma napisać kazanie, co mózgu musi nasuszyć?!.. A przecie ludzie mówią, że mam głowę na karku.

— I jaką! Chciałbym ją mieć! dopierobym pokazał, co umiem.

— Pochlebiasz profesor!..

— Co, ja? a niechże mnie! A przecież dziekan mówił do dziedzica, że niema lepszej do kazań gęby nad wikarego z Jodłownika!..

— Mówił?.. mówił?.. no to chodźmy wypić butelczynę miodu na tę uciechę.

Nauczyciel wiedział o miodzie i próżności młodego księdza na punkcie kaznodziejskiej wymowy.

— Po miodzie—mówił wesoło — pojedzie się na rowerze jak po maśle.

Wyszli spokojni, zadowoleni z siebie, w miarę weseli, w miarę uroczyści.

— Idą—szepnęła Broncia do siostry.—Skręcają na wikarówkę—zawołała — weszli! Teci, ty sobie z nich coś robisz, zmiłuj się, nie rozumiem cię.

— Są częścią publiczności, częścią ogółu.

— Nieprawda — zawołało energicznie młodziutkie dziewczę.—Ludzie nie składają się z samych nauczycieli i wikarych. Są jeszcze doktory, adwokaci, artyści, uczeni.

— Ale ci nie będą czytać.

— To i ci także nie. Muszą przecie być na świecie ludzie, którzy czytają, inaczejby nie drukowano książek. I muszą być przecie tacy ludzie jak ja i ty—i tak samo im się musi podobać, jak nam, powiedz sama.

— Stworzyłam, kocham więc swe dzie ci  
Lecz matki kochają najwięcej chore i garbate—  
Izy grube zaczęły krople po kropli spadać Teci  
z oczu.—Niepotrzebnie mama ich zaprosiła, a tak  
nie miałam ochoty, tak się bałam..

— Czego?

— Że nie rozumieją. Nauczyciel pewno myślał o miodzie u wikarego, a wikary nie słyszał, tylko patrzył i patrzył, myśląc nie wiem o czem. Najlepiej pisać dla siebie.

— Niezawodnie, moja Teci. A czy ty nie piszesz dla siebie? Tobie się to, co napisałaś, podoba. Czy to nie nagroda?... Sama sobie stworzyłaś Teofilę i kochasz ją. A czyż nie kochasz Józi i Karola? Musisz! Moja droga, o cóż ci idzie — o sąd i uznanie nauczyciela, kiedy on nie ma sądu i nie chce go mieć, on chce naprzód kawy, dużo chleba i masła, a potem miodu.

Głaskała ją po zmęczonej twarzy i całowała oczy, z których płynęły Izy.

Tecia nerwowym ruchem rzuciła kajet do szuflady stolika i zamknęła na klucz.

— Niech sobie śpi, tu mu będzie najlepiej.

— Nie, Teciu, ty nie jesteś egoistką. Jeżeli tobie i mnie podobają się ludzie zamknięci w kajecie i te serdeczne sceny, to może się i na tyle milionów podobają, choćby stu ludziom, podobnym do nas. Będziemy miały stu przyjaciół niewiadomych, a jednak serdecznych, zamieszkujących tę ziemię. Czy nie rozkosz mieć tylu przyjaciół!... Nie, Teciu, nie trzeba być egoistką.

— A jeżeli nie zechcą drukować?— szepnęła, Tecia.

— Jeżeli nie zechcą, to już temu nie będziesz winna. Wtedy powiemy, że świat zły, albo głupi i Teofila będzie czekać lepszych czasów. Nie płacz, masz też na kogo — na wika-rego i nauczyciela, jak gdyby oni byli całym światem, jak gdybyś ich nie znała.

Ocierała chustką łzy z oczu siostry i całowała ją.

— A jednak takbym chciała — mówiła Tecia — dać do przeczytania komuś, co ma serce i mógłby to odczuć, zrozumieć, ocenić. Czy te ma jakąś wartość, czy też jest to pospolite, zwykle gadanie. Boże, Boże, jakże jestem nie-miłosiernie sama.

— A mnie to nie masz? Ja nic nie znaczę? Jestem dla ciebie tem, czem liść spadły dla drzewa.

— Ty jeszcze jesteś dziecko podobają ci się uczciwe idee, lecz nie możesz tego odczuć, czy to ma artystyczną wartość.

— Teciu, nie myśl sobie, że jesteś jakaś zwykła nauczycielka. Tobie patrzy z oczu coś

innego, ja nie wiem, może to natchnienie, może promień boski, może sam talent?

Tecia się uśmiechnęła.

— A że go nie widzą nauczyciel i wikary, bo oni już takiego wzroku nie mają. Przejdźmy się

— Nie chcę przechodzić obok wikarów.

— Obejdziemy w koło kościołów i prosto na Łukaszową drogę. Weź ten wielki kapelusz od słońca i parasolkę. Kto wie, może ci przyjdzie jechać do Krakowa, nie chcę żebyś była opalona.

Wyszły.

Ciemne włosy Teci splecione w wielkie warkocze, spływały po jej utoczonych plecach. Perkalowa niebieska sukienka obejmowała zgrabną kibić, uwydatniając ponętne kształty okrągłe ramiona. Chód miały pewny, lecz zgrabny, nogi małe, ręce spracowane, oczy ciemne, głęboko osadzone, lecz duże, patrzące przez jakąś tajemniczą mgłę natchnienia. Broncia przy niej była młodością budzącej się wiosny, budzącego się życia. Zdawało się, że dziewczę roztworzy skrzydła do lotu. Pachniała wszystkimi urokami siedemnastu lat, urokami szlachetnej duszy i urokami ciepłego serca, odczuwającymi prawie nieświadomi — przez prawdę: dobro i piękno.

Zdaleka na Łukaszowej drodze podobne były do dwóch kwiatów polnych, jaskrawych, nurzających się wśród zieleni i złota kłosów pszenicznych.

Wikary z nauczycielem wyszli z wikarówki.

— Uciekają — zawołał nauczyciel — ze strachu, abyśmy nie wrócili i nie kazali im czytać ich bazgroł!

— Niech się nie obawiają. My mamy co innego na głowie.

— A jednak, księżę wikary, ta starsza *wartna* buzi...

Wikary nie opowiedział.

— Ożeniłbym się z nią, gdyby nie to, że żonom nauczycieli nie wolno być nauczycielkami... Okrutne prawo! A tak muszę czekać, zanim od ojca nie dostanę moich czterech morgów.

— I wtedy się oświadczysz.

— Jak Boga kocham śliczna dziewczyna patrz-no ksiąd, mak i bławat.

— A jeśli odmówi?...

— Mnie odmówi, mnie? gdy odbiorę cztery morgi gruntu? Co też jegomość ma w głowie? Któż ona? Matka ma sto pięćdziesiąt papierków emerytury dla dwóch, starsza trzysta i sakum pak półtora morgi gruntu z jedną krową...

— Prawda, tyś bogacz, masz pięćset pięćdziesiąt pensyi i dwie morgi szkolnych. Gdy ojcowie oddadzą ci cztery, zostaniesz panem.

— Panem jak panem, ale będę najzamoźniejszym nauczycielem w powiecie. To przecież coś znaczy.

— Tylko, mój kochany, na tyle gruntu musisz mieć dobrą w domu gospodynię. A jak ona zechce po całych dniach smarować piórem po papierze?

— To są tylko panieńskie fantazyje. Gdy w Krakowie wyleją jej na głowę kubel zimnej wody, otrzeźwieje. Bo komu to tu mój księżę?...

Ustawił rower.

— Cóż myślisz?

— Przeleczę obok nich jak wiatr, zdziwią się i ścieżkami przel las wydostaną się na Polaniecką drogę.

— Kiedy się zobaczymy?

— Rozumie się, że na odpuscie w Radłowie. Odpust dla nauczyciela jedyne *punktum* zabawy.

Wskoczył na rower i popędził.

Nauczyciel przemknął jak wiatr obok idących dziewcząt, przestraszył je, roześmiał się głośno i pędził dalej.

— Moja Teci, patrz, siedzi na tym rowerze jak pajak. A tyś chciała od niego sądu w rzeczach tak delikatnych, jak literatura.

— Prawda, głupia jestem, żem się mogła gniewać i irytować. Oni są tem, czem mogą być i muszą.

— Więc cóż myślisz robić?

— Jutro posyłam do Krakowa rękopis. Jeżeli nie przyjmą, to go zwrócą i rzecz skończona. Muszę sobie powiedzieć, że byłam idiotką, chociaż nie będę żałowała straconego czasu. Były to przecież najrozkoszniejsze chwile w mojem życiu, powiedz sama.

--- Niezawodnie, ale jeśli przyjmą i wydrukują... Jeśli przyjmą, to co będzie?!...

— Będziemy dalej pracować i cieszyć się w duchu.

— A jeśli wydrukują i zapłacą i będą chwalić po gazetach, a jeśli będziesz odbierać listy i karty korespondencyjne? Co będzie wtedy?

— Wtedy będę miała parę szczęśliwych chwil—szepnęła Teci.

— Jakie będą mieć miny nauczyciel i wykary!

— Nie będziemy się wtedy zajmować ich minami.

Nazajutrz młodziutkie dziewczę wstało raniutko, wyprasowało sobie perkalową, jasną sukienkę, ubrało się w nią, rękopis i list zapieczętowało, zaadresowało i poszło do sąsiedniej wielkiej wsi—naprzód do kościoła, a gdy pocztę otworzono—weszło do niej.

Pocziarka, stara panna, brzydka, lecz za to dobra, że choć do rany przyłóż, przywitała Bronię serdecznie, poprosiła ją do swego pokoiku na herbatę.

Gwarzyły razem.

— Tecia posyła swój utwór. Domyśliłam się odrazu. Daj Boże, żeby tylko przeczytali. Ale ci mężczyźniska, gdy tylko poznają pismo kobiece, patrzą na podpis i rzucają odrazu do kosza, chociażby to było nawet arcydzieło. I co im zrobisz, zwyczajnie — łajdaki!... I ja za młodu próbowałam swoich sił; ludzie mówili, cała moja rodzina, że mam talent. Pamiętam, wuj Erazm spłakał się, gdym mu przeczytała jeden ustęp. Pewna swego — posłałam im, a oni, nie czytając — buch do kosza! Zwyczajnie, łajdaki... Wierzę, że Tecia ma talent; lecz czy te łotry go zobaczą, ocenią, uznają?...

Broni nie powstała nawet myśl w główce, aby nie chcieli czytać arcydzieł siostry, aby mogli czegoś nie czytać co im się poszle.

— To najgorsze—szepnęła.

— Najgorsze, a jednak — najprawdopodobniejsze.

— Cóż robić?

— Niech jedzie Tecia; ładna, zgrabna, ma wymowne oczy—to tylko działa na tych hajdamaków.

— Nie pojedzie za żadną cenę.

— Jedź ty.

— Za młoda jestem na autorkę—nie uwierzą, a jechać za siostrą—to śmieszne.

— Posyłajmy więc, zobaczymy! Gdy rzuca do kosza, będziemy miały przynajmniej tę satysfakcję, że ich zwymyślamy. Bo ja im nie daruję!...

Recepis dziewczę schowało do portmonetki i przerażone przypuszczeniem, że wrzuca do kosza, odeszło.

Szła nerwowo, oburzona niesprawiedliwością i głupotą ludzką.

— Dobrze, niech rzucają, gdy im się tak podoba, albo raczej gdy im się nie podoba, ale niech czytają. Wieleż-to tym sposobem mogą talentów zabić, zniszczyć, zniechęcić... Ach, jakie to nędzne — nie wiedzieć co się ma i rzucać... A może się trzymało w ręku perłę i rzucało ją na śmieci. Czy to być może, aby taki idiotyzm panował w redakcyach, które właśnie narzucają swój rozum społeczeństwu. Nieprawdopodobne, z kąd Agata może to wiedzieć?! Pewno jej utwory dopiero po przeczytaniu rzucono do kosza?... Niezawodniel... A jeżeli dostają co dzień po dziesięć rękopisów, czyż mogą nastarczyć czytać? czyż mogą?!...

Ta myśl dławiała ją — biegła żywo, miała ochotę płakać, lecz się wstydziała.



— Zobaczymy, tydzień to nie wieczność — wytrwam przez tydzień.

Tecia wyszła na przeciwko, pobiegła ku niej.

W niedzielę poszły do Dunajca odległego o półtorej mili, aby w umęczeniu ułagodzić podrażnione nerwy. Kąpiel je orzeźwiła, usiadły na urwisku, u stóp ich drzemały wikła, środkiem płynęła rzeka, zataczając na głębiach zdradzieckie wiry, wody jej pędziły z niepomowanym pośpiechem. Nie było plusku. Za ledwo ciche jęki uciekającej wielkiej masy wody. Za rzeką ciągnęły się zielone błonia, porozrzucane białe domki, wielka bita droga przecinała szarą wstęgą świat, a dalej na południu majaczały sine góry, za niemi odcinały się poszarpane szczyty, jak gdyby jakiś olbrzym na jasnym tle nieba poodznaczał kontury olówkiem.

— Tatry — szepnęły jednocześnie z pewną czcią mityczną, nasze Tatry, widać je wyraźnie, patrzą w niebo zasłuchane, a jakieś przejrzyste, dziewicze—jak do ślubu. Szczytami całują jasne niebo, zrękowiny z niebem. Ono ich okrywa przejrzystej gazy welonami.

Przytuliły się.

— I nasze z rękowiny z niebem — szepnęła Tecia.

— Naszego ducha, naszych przecuć i dobrych myśli. Czyż nam posrzeba innych?—spytowała Bronia.

Głaskała jej włosy i całowała gładkie czoło.

-- Mam przeczucie—mówiła—że kiedyś stać nas będzie na wycieczkę w Tatry, zobaczymy Morskie Oko!... I to przecież rozkosz życia. !

Chciała powiedzieć: Będiesz wtedy sławną, lecz nie śmiała, a nawet przełękała się sama przed sobą tej myśli.

Wracały orzeźwione ruchem, młodością i jej urokiem — marzeniami.

W jadalnym pokoju na stole leżał wielki list.

-- Rękopis — szepnęła Tecia.

Broncia rozdarła kopertę — wyleciał numer dziennika i kartka od Agaty.

„Jesteście odemnie szczęśliwsze — przeczytali. Dziennik odeślijcie mi jutro—i napiszcie do nich niech wam go przysyłają dopóki się nie skończy nowela.“

Tecia zbladła, krew do serca jej ściekła, wlepiła wzrok w dziennik, patrzyła na tytuł, na szeregi czarnych liter, lecz ich czytać nie mogła.

— Chodźmy do twego pokoiku—szepnęła jej do ucha Bronia, ujęła ją wpół i uprowadziła.

Usiadły.

Dziewczę wzruszone czytało głośno — Tecia słuchała uważnie, jak gdyby niesłyszana nigdy historię.

— Jakie to śliczne—zawołała po skończeniu

jednego ustępu Bronia. — Teci, z kąd ci się to wzięło?!...

— A z kąd się biorą złote kolory na piórach ptaków — odpowiedziała wesoło.

— Prawda! — i czytała dalej aż do „dalszy ciąg nastąpi“.

— A więc?...

— Zwycięstwo — zawołało dziewczę — zwycięstwo! Ach jakże jestem szczęśliwa — rzuciła się Teci na szyję i rozplakała. — A tak się bałam, takie mnie lęki zbierały, nie sypiałam po nocach.

— Ja miałam w głębi serca nadzieję.

— Mnie nastraszyła Agata, że nie czytając rzucą do kosza. Widziałam we śnie jak redaktor patrzy na tytuł, czyta podpis, krzywi się, wrzusza ramionami i rzuca do kosza! Słyszałam gniewny szelest papierów w koszu. Miałam ochotę wybić redaktora i z żalu nad tobą płakałam. Ale teraz wszystko minęło, stoję wobec zwycięstwa — lećmy do domu.

— Biegnij sama, zostanę, muszę przyjść do równowagi, wejść w siebie, odpocząć, uporządkować myśli. Odrazu z zwyczajnej nauczycielki stałam się autorką — pomyśl...

— Myślę, wiem, rozumiem, radość serce m rozsadza, radabym lecieć przez całą wieś i wołać z całych sił: Ludzie, siostra moja, dzieci waszych nauczycielka jest autorką drukowaną w dziennikach, znaną, podziwianą, kochaną...

Wybiegła, pędząc wprost do organisciny, u której rezydowała matka wśród grona wiejskich powag.

— Mamo, Teci drukowana!..

Ani matka, ani powagi nie rozumiały tego wykrzykniku dziewczęcia.

— Drukowana, to znaczy, że Tacia napisała z własnej głowy śliczną rzecz, a gazeta zaraz to wydrukowała, zapłaci za to i pieniądze jej odesła. Ludzie, słyszycie, wasza nauczycielka taką ma głowę, że co ci napisze, gazety drukują i płacą sryblem!...

— Niech mamusia patrzy, wszystko, co tu zadrukowane, pisała Tacia.

Podawała matce dziennik.

Szmer zdziwienia przeszedł po izbie, organista podrapał się za ucho, organiscina niedowierzająco głową kręciła.

— Mamusiu, wracajmy do Teci, trzeba jej powinszować, utulić, ugłaskać i cieszyć się razem z nią. Jest bardzo wzruszona. Podawała matce rękę i wyprowadziła ją wśród ogólnego zdziwienia zebranych.

— To wielkie szczęście—mówiła matka przez drogę—a i dla nas wielka radość, może się teraz prędzej jaki konkurent zdarzy.

— Tylko niech mamusia przy Teci w tej chwili z konkurentami nie wyjeżdża. Byłoby jej to przykro.

— A wieleż może dostać z gazety?

— Kilkadziesiąt guldenów najmniej.

— Najmniej, dziecko co ty mówisz?

— Tylko niech mamusia nic o tem głośno przy Teci nie mówi.

— Więc o czemże mam mówić—odezwiała się urażona.

— O jej talencie, mamusiu, o radości, o sławie, o powodzeniu.

— Nie znam się na tem.

— Będę mamusi pomagać.

Tecia z ganeczku dostrzegła wracające, wybiegła uściskać matkę.

— Moje dziecko nigdy nie wątpiłam, że będziesz mieć miłość i szacunek ludzi

— Do tego jeszcze daleko, mateczko. Dobrze na początek, że drnkują co napiszę.

Matka chciała dodać — i płacą, lecz w porę urwała.

— Tajemnicę trzymałyście przed matką?

— Aby jej tem większą niespodziankę zrobić—zawołała Bronia.

Weszły do mieszkania, dziewczę zwróciło się do Teci.

— Jakie zdziwienie na organistówce! Organista oniemiał, organiścina gębę rozwarła jak wrota, wójt i wójtowa głowami kiwali. Jutro będzie o tem wiedzieć cała gmina i okoliczne dwory, a po jarmarku cały powiat. Żal mi nauczyciela z Polanki, żal mi wszystkich nauczycieli z całego powiatu. Zaczną się tu historye—a moja Tecia królowa, pani!..

Matka chciała poruszyć kwestyę konkurentów, lecz nie śmiała.

— Cieszcie się dzieci, bo macie z czego — rzekła rozrzewniona.— Czem to teraz została moja córka?

— Autorką, sławną autorką, znaną autorką, naszą autorką. Gdy przyjedzie do Krakowa, wszystkie gazety wydrukują: Teresa Wybranowska, znana zaszczytnie autorka, bawi w naszym mieście.

— Jeśli tak to dla samego ogłoszenia warto pojechać.

— Ależ dopiero, mamusiu za dziesięć lat, przy najszcześniejszych okolicznościach. Bronia z wielkiej radości fantazyje.

Dziewczęta ujęły się wpół, zbiegły z ganku, idąc na Łukaszową drogę.

Stały raptem.

— No cóż?

— Naprzód pocałujmy się. Jeszcześmy się nie pocałowały prawdziwie i serdecznie.

Padły sobie w objęcia. Była to chwila prawdziwego ich szczęścia.

— A teraz co? — spytała Teczka.

— Chodźmy dalej. Teraz, moja siostrzyczko, przyszłość masz w swych rękach.

— Tę dobrą przyszłość, że wolno mi będzie pracować. Wolność pracy również należy do dobrodziejstw świata.

— I ja o tem myślałam. Już nie zginiemy jak marne ćmy, a po tobie coś przecie zostanie. Choćby to, że cię wydrukują w literaturze.

Teczka stanęła raptem.

— Wiesz co — mówiła — myślałam, że będę mieć większą radość i większe upojenie.

— I ja, miną nadrabiam, zagłuszam się potokiem słów, lecz nie jestem tak szczęśliwa jak marzyłam.

— Czegoś nam jeszcze brakuje.

— Czego?

— Nieba.

— Chciałaś powiedzieć, że świat nie daje zupełnego szczęścia. A więc bierzmy to, co daje. Jedną młodość, niechże się cieszy, tem co jest. Dziś mamy zwycięstwo. Stanowczy przełom w twem życiu!

Klasnęła w ręce.

Tecia objęła ją wpół — poszły dalej. Księżyc nie było, granatowe niebo przysunęło się, na ciemne jego tło wyskoczyły wszystkie gwiazdy, mrugały wesoło i śmiały się.

— Patrz wszystkie wyszły na twoje przyjęcie.

— Wiesz, co mnie zaczyna prześladować — przerwała Tecia. — Strach aby się utrzymać na swem stanowisku, na tej wysokości, jeżeli na niej stanęłam — i nie upaść. Tego się boję!

— Masz! wąż zwątpienia, obaw, miłości własnej i tym podobnym katuszy, już przypelzał, obwija ci serce i ssie.

— Oto nasze życie ludzkie. Ani chwili odpoczynku.

— Ani wytchnienia — zawołała Broncia — tylko ta wściekła praca, do utraty sił, do skonania.

— Iść naprzód, lub paść!.

— Padać, zrywać się i znowu iść, to życie. A więc, Teciuniu, co ci szepcze teraz ten podły gad?...

— Boję się, czy druga praca, którą zaczęłam, będzie tak dobra, jak pierwsza. Czy utrzyma mnie na tej samej wysokości, czy padnę i nie podniosę się.

— Cóż myślisz? — szepnęło przerażone dziewczę.

— Nie wiem, moja droga, boję się zdaje mi się, że to, co teraz piszę, taka lichota, że czytać nie warto.

— Bo tybyś już chciała pisać same arcydzieła. Narodziła się wielka gwiazda i zmienia

się w słońce. Duma cię bodzie, ten obrzydły wąż ssie ci serce.

— Nie rozumiesz mnie, dziecko, przecie ja nie mogę spać. Czyż tybyś tego chciała?

— Nigdy, jutro mi przeczytasz.

— Dziś, zaraz, w tej chwili, chodźmy, potrzebuję pociechy, w nocy spaćbym nie mogła.

Wracały, niebo się kładło, gwiazdy wyiskrzone mrugały wesoło, drzewa olbrzymiały, kościółek słuchał co gwiazdy mówią...

Dziewczęta wpadły do izdebki, zapaliły lampę, Tacia wyjęła kajet i zaczęła czytać. Głos jej drżał lecz i zapal wzrastał, upojona była muzyką własnego stylu i własnych myśli.

— Ależ to prześliczne — zawołała Bronia — piękniejsze od tego, co się drukuje.

— Może tylko chcesz mnie pocieszać.

— Przysięgam! Powiedz, kto ci to wszystko dyktuje?

— Albo ja wiem. Biorę pióro, zaczynam i zdaje mi się, że jakaś siła, a może duch jest we mnie i szepcze — słucham go i piszę. Lecz czasem nic nie mówi — milczy, wtedy pióro kładę, mówiąc: do widzenia panu! Na przyszły raz może będziesz grzeczniejszy...

— Muszę i ja tak samo spróbować.

— Wybornie — jeśli jest przyjdzie.

— A jeśli go niema?

— Nie sprowadzisz go żadnemi namowami.

— Zobaczymy. A teraz powiedz — wąż milczy?...

— Nie odzywa się.

— Będziesz spać po tem podwójnem zwycięstwie.



— Sprobuje.

— Tećka, życie nasze jest biedne! Tyle męczarni na jeden uśmiech szczęścia. A gdy się nam zdaje, że przyszedł, idzie wąż i ssie. Dobranoc ci—zbliżyła usta swe do ust Teci, czuła, że były gorące.

Tecia została sama, powoli rozbierała się, marząc o wielkiej swej przyszłości. Czuła, że do jej szczęścia potrzeba kogoś, komu w tak wielkiej chwili jak dziś, mogłaby rozpaloną głowę położyć na piersi.

— Samotność jest rozkoszą, lecz rodzi pustkę koło nas. Nikogo...

Zagasiła lampę — otoczyły ją ciemności i cisza...

— Czy tak się objawia szczęście nasze? Jeżeli tak i nic innego, nic, nic, to wolę już walkę. Drogi wiodące do szczęścia są piękniejsze, walki na nich rozkoszniejsze. Szczęście to cel, a cel to śmierć. Wolę walkę — nikogo. . . niko... go—zasnęła—marząc o walkach i zwycięztwach.

Nazajutrz rano zaciekawione gospodynie wracając z kościoła wstąpiły do szkoły. Na ganku Bronia, w kuchni matka, opowiadały im o zaszczycie jaki spadł na całą wieś.

— Wielga głowa — mówiły, popijając częstowany miód — żeby tak wszystko z głowy wykalikulować, żeby aż ludzie w wielkiem mieście drukowali i jeszcze płacili za to?!...

Tak się skończyły owacy uznania na wsi. Na odwieczarz siostry poszły na pocztę odnieść list do redakcyi, odwiedzić Agatę i podziękować jej za przysłanie dziennika.

Stara panna przyjęła je chmurno, ze źle ukrytym żalem. Dlaczego ci sami ludzie dla jednych są niesprawiedliwi, dla drugich usłużni?... Na podstawie łez wuja wierzyła w swój talent.

— Jesteś szczęśliwsza odemnie—powiedziała do Teci i od wielu, wielu innych. Czy cię widzieli—czy co?!...

— Kto?—spytała Teczka.

— Któżby? te łajdaki z redakcyi, umizgusy, burzyciele domowych ognisk i spokoju kobiet...

— Ależ żaden mnie nie widział!

— No, to przeczuwają, że jesteś młoda i przystojna, wierzą, że się dostaniesz w ich szpony. Gdyby nie przeczuwali i nie wierzyli, nie widziałabyś swej pracy w ich gazecie. Mój wuj Erazm nie jest pierwszym lepszym z brzegu, a płakał nad moim utworem—i cóż?...

— Nie przeczuwali i nie mieli nadziei.

— Jaby im dała nadzieję, niechby z piekła nie wyszli!..

— Cóż sądzisz o mojej pracy — przerwała Teczka.

— Początek ładny, tylko widzisz u mnie więcej było tkliwości i kobiecego serca. Ot, co ci powiem.

— A oni łajdaki nic nie przeczuwali—zawołała swawolnie Bronia.

— Przeczuwali — dodała Agata — siłę mego niepokalania i...

— Buch do kosza rękopis!

— A coby ze mnie mogło być!.. Dziś jestem nędzną pocziarką.

— Otarła łzy.

— Ty jesteś szczęśliwsza — mówiła dalej do Teci — przed tobą świat stanął otworem. Tylko się nie śpiesz, przeczuwam, że jużbyś chciała zawalić swemi robotami wszystkie redakcyje. Tajemnica w tem, aby za toba tęsknili. Jak za tęsknią, trafią sami.

— Trafią łajdaki, trafią — poświadczyła wesoło Bronia.

— Moja wada była w tem, że jak się rozgniewałam, zarzuciłam odrazu dziesięć redakcyi. Musiały się porozumieć i żadna nie odpowiedziała.

Przyszła poczta: Agata stanęła za kratkami, dziewczęta pochwyciły dziennik z felietonem Teci i czytały z wypieczonemi rumieńcami na twarzach, z roziskrzonemi oczyma. Często im tchu brakowało w piersiach.

Po skończeniu Bronia oświadczyła, że musi drugi raz przeczytać. Siadła na stołeczku przy oknie pochłonięta treścią. Za małą chwilę stanęła za nią Teci i znowu czytały razem.

Były to najszczęśliwsze chwile w życiu dwójga dziewcząt: uzmysłowienie pracy ich ducha i oddanie go światu. Żadne zwątpienie, żadna krytyczna myśl nie wkradła się do ich mózgów — dziewiczość zachwytu i wiary panowała wszechwładnie — i ona to dawała im rozkosz zadowolenia.

Trzeciego dnia z redakcyi przysłano paczkę dzienników z początkiem noweli i list.

Gdy Bronia weszła do jadalnego na stole leżał list adresowany do panny Teresy Wybranowskiej. Bojąc się nowego zawodu rozdarła kopertę, wystraszona zaczęła czytać.

Drogie dziecko i szanowna koleżanko!

Czytam twoją nowelę i przeczuwam, że na wsi, wśród biednego ludu w swej szkole jesteś okrutnie sama, nikogo coby wyciągnął do ciebie dłoń, nikogo coby ci powiedział choćby parę serdecznych wyrazów. Odczuwam tę straszną pustkę przyniatającą twój mózg. Za młodu przechodziłem te same katusze: wśród mego otoczenia byłem absolutnie sam.

Cóż ci mam napisać? oto: talent i talent, należy go pielęgnować i wolno lecz nieustannie rozwijać. Tylko rośnij w wytrwałość, która tworzy cuda i pamiętaj, że oprócz nadzwyczajnych chwil, samotność dla młodości jest rozkoszą i mądrością. Bez idei niepodobna czegokolwiek stworzyć, a idea zawsze przybywa do nas na skrzydłach samotności. W samotności tylko stajemy się samymi sobą, w samotności dusza co w nas drzemie, nieznana potęga budzi się, wydobywa, widzimy ją, przemawia do nas.

Niech będzie błogosławiona samotność, ona do talentu, co drzemał w tobie, przypięła skrzydła. Nie łam ich, wznos się coraz wyżej, co raz większe obejmuj horyzonty. Z oddalenia pokochasz ten biedny

świat, bo wtedy małości jego zginą ci z przed oczu i nędza jego nie będzie tak straszliwie wyraźna.

Do widzenia moje dziecko  
stary przyjaciel młodości  
*Mieczysław.*

Bronia jakby wryta w ziemię, jakby w niebowzięta nie mogła się ruszyć; szeptała talent, talent, talent. Niech będzie błogosławiona samotność, ona skrzydła przypina.

— Teci! — miała zawołać, lecz wzruszenie dusiło jej głos, chciała biedz, padła na krzesło.—Kocham Tecię, muszę ją kochać, kiedy jej sława odbiera mi głos i nogi mi drętwiąją. Ale gdyby taki wielki autor do mnie napisał, coby się wtedy stało? Możebym umarła ze wzruszenia, z radości... Dobrze, że nie piszę—westchnęła.

— Teci!—zawołała głośniej.

Przez pokój przechodziła matka.

— Wie mama o liście?

— Jakim?

— Od wielkiego pisarza Mieczysława do Teci.

— Powiesz mi przy obiedzie, wyobraź sobie, jeszcze ciasto nie pokrajane na makaron do rosółu.

Matka ocuciła dziewczynę. Broncia wzięła list i kopertę, wstała i spokojna, panująca nad sobą poszła na strych do pokoiku siostry.

— Masz — rzekła, kładąc papier na stole, a teraz pomyśl sobie jak wyglądają — jak po-

winni wyglądać w twych oczach Lubrańce, dziewcziczki Jadownik i ekonomowie! co?

Tecia czytała, twarz jej oblewała się rumieńcem i bladła, oczy świeciły.

„Talent, talent, talent...”

„Niech będzie błogosławiona samotność“.

— Dzieci! — wpadł do pokoiku głos matki — rosół już rozlany!

— Gdyby nie nasza poczciwa matka, samotność nie przypinałaby skrzydeł do mego talentu. Mamusia to nasz zbytek, nasz dobrobyt, bogactwo całe, ona nam pozwala na pracę i boską samotność. Broniu, kocham samotność i pragnę się w niej nurzać.

— A ja będę zwierciadłem twej duszy, jak mówi Hamlet do Horacego. To jest cudowne powiedzenie i wzięło mnie.

— Żebyśmy to mogły coś więcej jeszcze czytać Szekspira!..

— Dzieci! — głos zmienił się w ostry.

Zbiegły na dół, rzuciły się matce w objęcia.

— Cóż nowego?

— To, że Teci samotność przypięła skrzydła do talentu z łaski mamy...

— Baj baj, będziesz w raju — odpowiedziała wesoło kobieta — siadajcie, rosół wtedy tylko smakuje, gdy jest ciepły. Dla was makaron, ja zaś lubię rosół z ziemniakami, pokrajałam je w kostkę i osobno w garnuszku ugotowałam.

— Niech mamusia zawsze tylko to, co lubi, jada w swoim domu.

— To przecie ja u was jestem w gościnie!..

— Nie, my u mamy, jako jej dzieci na jej chlebie. Bo gdyby nie matka — byłby tu głód, albo nie byłoby literatury...

Pocałowały matkę.

— Zdałaby się jeszcze jedna krowa — szepnęła — paszy dużo.

— Pieniądze z literatury dam mamusi na krowę.

— Chwała Bogu, na innych wtedy staniemy nogach! — tu matka zniżyła głos, aby nie podsłuchano gorących życzeń jej serca.—Mając drudą krowę, można przy niej przychować najmniej dwa prosiaki.

— Zbytek—zawołała żartobliwie Bronia.

Matka położyła palec na ustach, aby się przed czasem tajemnica nie wydała przed Kaśką.

— Myślę o drugiej krowie, jako o szczęściu, ale się boję wypowiedzieć głośno mych gorących pragnień, bo zwykle wtedy nie sprawdzają się.

Dziewczęta z achwycą obawa matki utraty szczęścia i jej skromniutkie pragnienia, które jednak miały swój serdeczny urok, gdyż wykwiwały na gruncie miłości do dzieci.

Po obiedzie w wielkich kapeluszach słomianych wybiegły rozradowane.

— Na Łukaszową drogę, nad brzeg rzeki, do natury, do samotności i ciszy, może usłyszymy szelest skrzydeł idei — mówiła rozentuzymowana dziewczyna.

— Prawda, Teciu, że stać wobec natury z myślą własną, to rozkosz?

— Tak, to rozkosz, jeżeli myśl odpowiada wielkości natury i jej prawdzie. Mizerna myśl wstydzi się natury, a kryje się przed prawdą!

— Zkąd tobie rodzą się w umyśle takie poglądy?...

— Szmer skrzydeł idei przynosi je. Ten przyjaciel młodości nie wie, jaką mi swym listem rozkosz sprawił. Dźwignął mnie i odrodził.

— A zdaje się, że list pełen prostoty.

— Prostota i prawda—pochwyciła Tęcia—to są tajemnice piękna i twórczości.

Weszły w las, na dole panowała uroczysta cisza, że słycać było szelest stąpań ich nóg, w górze po szczytach drzew płynął wiatr, coś mówił.

---



## II.

**P**o dwóch tygodniach przyszedł z poczty receptis na żółtym papierze, a na nim wypisana cyfra siedmdziesięciu pięciu guldenów przysłanych z redakcyi. Nowe wzruszenia, najwięcej manifestujące się w kuchni. Matka była uszczęśliwiona, Kaśka wzruszona, cała wieś rozciekawiona.

Drukować po gazetach nie sztuka, lecz brać za to pieniądze i jeszcze tyle odrazu, szeptano. Matereuszowi \*) nie daje się i połowy tego. Nauczycielka urosła, jak każda siła rośnie w oczach ludu rozumiejącego siłę jako prawo.

— Co oni ci piszą z redakcyi, tego tylko jestem ciekawa—mówiła Bronia.—Dobrze zapłacili, spodziewałyśmy się mniej, lecz to najmniejsza, ale co oni mogli napisać.

Pobiegła na pocztę.

---

\*) Matereusz — notaryusz.

Na przekazie była notatka: „Serdecznie dziękujemy. Jeżeli z równą siłą i talentem będą i następne utwory — prosimy...“ Pieczęć redakcyi i nic więcej..

— Proszę — odezwała się Bronia — słyszysz, proszę. Ale jak śmia powątpiewać, że następne nie będą lepsze? Czyż to być może?

— Jeżeli śmia to i wątpią, trzeba ich upokorzyć.

— Trzeba, trzeba!..

Agata smutna, wspominająca płaczącego wuja Erazma wypłaciła pieniądze.

Wróciły uszczęśliwione.

Nazajutrz był jarmark w Jordanowie, matka tak stanowczo zażądała sześćdziesiąt guldenów, że nie było rady, musiały je dać, pozostałe piętnaście poszły na książki. Buciki zimowe musiały czekać na honorarium z drugiego utworu.

Do kupienia krowy na jarmarku zaproszony został największy znawca bydła we wsi. Jechał organista, zabrał matkę, znawca siadł na kozioł, Kaśka świtanem poleciała piechotą.

Pozostali ludzie we wsi z gorączkową niecierpliwością oczekiwali powrotu z jarmarku. Wracających wcześniej pytali, czy krowa już kupiona?... O godzinie pierwszej przysła pierwsza wiadomość.

— Kupiona! Cała pstrokata, wielga jak Haman, młoda i mleczna. Matka zapłaciła za nią z wielkim targem sześćdziesiąt pięć papierków. Piątkę dołożyła z własnych uciulanych. Wrażenie było większe od wszystkich druków i przybyłych listów.

O trzeciej godzinie chłopcy z pastwiska przybiegli, wołając: wracają, wracają, wracają! Bronia pochwyliła w pół Tecię, organistów wysunęła się naprzód, za nią kościelna, gospodynie czekały przed szkołą.

— Czujesz radość ludu — szepnęła Bronia.

-- Czuję—dobry jest, gdy się do niego przemawia faktami, na idee jeszcze na niego czas.

— Teci, ty jesteś bardzo mądra.

Roześmiały się wesoło.

Na zakręcie drogi ukazała się kapana w słoncu: czerwona chustka i biała spódnica Kaśki, na powrózku srokata, za niemi para koni ciągnęła bryczkę, na niej matkę, organistę i znawcę. Kobiety rzuciły się do srokatej zmęczonej i zgrzanej — matka i znawca wysiedli z bryczki.

— Dzieci — mówiła dumnie — nie powstydzę się przed wami. Kuba wybrał, ja stargowałam. Kuba założył za pas ręce.

— Na piąty rok, po drugim cielęciu — powiedział skromnie, z wyglądającą z oczu pychą.— Tyło trzeba mieć ją na oku, bo to widzę kuta zbytnica.

— Szkodnica!—mówiły kobiety, dziwując się i zazdroszcząc.

Zbytnica chwyciła [wargami fartuch Kaśki i ciągnęła go.

— Jak się nazywa?—spytała Bronia, podchodząc do krowy.

— Pewno srokata, ale ci srokatych pół wsi, a że kupiona za pieniądze z gazetki — niech-że się „Gazetką“ nazywa.

— Moja „Gazetka“—powtarzała Bronia, głaszcząc ją po karku.

Krowa wyciągnęła szyję, kładąc łeb na ramieniu dziewczęcia.

— Pieszczocha—szepnęły oczarowane gospodynie.

Pieszczocha wodziła dokoła wielkimi ciemnymi oczyma, rozwarła nozdrze, wciągnęła powietrza i gwałtownie skoczyła w susach i podskokach do studni.

Gromadki w serdeczny śmiech, Kaśka pobiegła za krową.

— Mądrała—zawołały kobiety.

— Ba, nie byłaby „Gazetką“ — dodał Kuba i z matką na czele wśród śmiechu i wesołości poszli wszyscy za krową.

Zostały Teczka i Bronia.

— Krowa większe zrobiła od nas wrażenie— odezwało się dziewczę. — Utwór twój przeszedł niepostrzeżenie, krowa ściąga tłumy.

— Utwór mój wywołał niezadowolenie gromy, krowa zachwył. Jestem pewna, że Lubraniec przejeżdżając wstąpi zobaczyć sroką, która się stanie wśród ludu legendową. Kuba z pychy swej stworzy legendę.

— I znowu zostałyśmy same.

— I tak będzie do końca. Wracajmy do naszej ukochanej samotności i z niej jak z ukrycia będziemy ludziom posyłać nasze dobre myśli i nimi rozjaśniać powszedniość ich życia, rozweselać ich biedę, łagodzić troski...

— A same, jak królowe, nie będziemy rzucać naszej samotności. Co nam po ludziach.

— A przecież ludzie muszą być — szepnęła więcej do siebie Teczka.

— Niezawodnie! ten autor. Ach jakbym go poznać pragnęła.

— I ja! pojedziemy do niego z drugą pracą.

— A teraz na Łukaszową drogę — zawołała Bronia — pragnę być sama z tobą. Serce mi rośnie, że swoim talentem sprawiłaś tyle radości ukochanej naszej matce i tyle wzruszeń dla całej wsi. Co się to będzie dziać jak „Gazetka“ pokaże się na błoni.

— Na Łukaszową drogę — chodźmy marzyć i cieszyć się, to nasze królestwo...

Poszły do lasu.

Nauczyciel dowiedział się od ludzi wracających z jarmarku, o kupnie srokatej. Zaciekawiony przyjechał na rowerze przekonać się, bo miał się za znawcę i przykro mu było, że nie został wezwany jako znawca na jarmark. Zobaczył, oczom nie chciał wierzyć. Zdjął okulary i patrzył, wdział okulary i znowu patrzył.

— Na pięć wsi dokoła niema takiej krowy! — zawyrokował i poszedł wprost do wikarego.

— Księżel! widziałeś krowę, prześliczna? Wie dobrodziej co, nie będę czekał na odbiór czterech morgów, nie miną mnie przecie, wcześniej czy później dostanę je. Pokpiliśmy trochę sprawę, dziewczyna ma talent, bo bierze pieniądze.

— Więc cóż? do rzeczy.

— Biorę ją!

— Krówka cię jegomościuniu wzięła — rzekł ksiądz. — Przyznaj się, zobaczyłeś srokatą i zmiekleś dla dziewczyny odrazu.

— Krowa piękna, ani słowa, schwyciła mnie za serce, lecz nie o to idzie. Dziewczyna za miesiąc smarowania po papierze bierze siedm-

dziesiąt pięć papierów, co wypada przez rok bez mała tysiąc. A toć lepiej przyjąć drugą starszą dziewczkę do gospodarstwa, a ona niech smaruje—gotowy majątek...

-- A jak się wypisze?

— Młodzizna przecie, popisze jakie dwadzieścia lat, a to co napisze do kasy—gotowy majątek.

— Więc cóż myślisz?

— Oświadczyć się, a potem prosto do jego—mości na pacierze, dać na zapowiedzi i wesele! Mieszkanie mam, graty jakie takie są.

Roześmiał się głupkowato, szczęśliwie.

— A jak dziewczyna odmówi? Pewno literatura i srokata przewróciły jej w głowie. Zda je się jej może, że co miesiąc będzie kupowała po jednej krowie.

— Kupować łatwo, ale wyżywić na jednej mordze ha, ha! Gdzie jest?.. ja jej to wytłomaczę!

— Poszły obie na Łukaszową drogę do lasu. Lecz ci radzę, pomów naprzód z matką—primo, że matka, a secundo, że ona jedna z nich ma rozsądek i rozumie co życie...

— Jakiż jestem głupi, zapomniałem o matce. Wszystko naprzód ułożę z matką.

Popędził do matki.

— Widzi mi się, że tu i matka nic nie poradzi, dziewczyny wyglądają na zbzikowane, szczególnie Bronka, ta mała dyablica... A jaka ładna, jaka ładna, taka musiała kusić św. Antoniego!..

\*

\*

\*

Chłodnawo raptem się zrobiło, wschodni wiatr czasem się zrywał, przeciągnął przez pola i zamierał w lesie. Słońce na różowej pościeli kładło się do snu. Czerwone bluzki dziewcząt płonęły w blaskach zachodu. Na skraju lasu siadły na zielonem wzniesieniu, patrzyły w las, gwarząc, jak umie gwarzyć młodość, dla której wieczność odchyła tajemnicze wrota.

Od strony Radłowskiej Woli ścieżkami szedł młody człowiek śmiało, swobodnie, na plecach dźwigał płócienny tornister, w ręku trzymał skreconą śrubami grubą laskę. Słomiany kapeluszek umieszczony na tyle głowy odsłaniał ciemne włosy i twarz o podłużnym profilu, niebieskich, poczciwych oczach, cienkim nosie, małych wąsach i uśmiechniętych artystycznie ustach. Zwrócił się na prawo, zobaczył dziewczęta, stanął jak wryty — szeptał: pycha! pycha! jakież boskie plamy w tem różowo-sinem świetle powietrza na podkładzie zieleni, obok tej szaro-czerwonej kory starych sosen i chłodnego w siebie światła ciemnego lasu. Byłbym ostatnim niedołęgą, gdy nie skorzystał z losu... Los się zbliżył, łapmy go i trzymajmy.

Zdjął tornister, trzymane w ręku sztalugi odśrubował, ustawił, wyjął paletę, farby, pęk pędzli, siadł na ziemi, plecami zasłonił zachodzące słońce—malował.

— Ach żeby te dwie plamy chciały tkwić w tej pozie godzinę, Boże, Boże! Co za facetki ukrywają się w tych szkarłatnych plamach?... Niech będą jakie chcą, byleby tkwiły godzinę... Tony światła przepysznie się zlewają w całość. Czerwona kora sosen, szkarłatne bluzki i róż

zachodzącego słońca... Jedna, jedyna natura potrafi dobierać w ten czarodziejski sposób kolory... Drzewa mam naznaczone, a teraz plamy — nie oglądajcie się, bo gotowieście uciec w las jak rusalki i skończony bal..

Obejrzały się.

Bronia wystraszona zerwała się na równe nogi.

— Zaklinam panie, zostańcie jeszcze w tej samej pozie, póki do was nie przyjdę. Jeśli odejdziecie, wszystko stracone—zawołał artysta, kłaniając się z gracyą światowca kapeluszem.

-- Powiedz pan, jak jeszcze długo — zawołała Bronia.

— Malutkie pół godziny, tyle ile potrzeba do podłożenia farb.

— Lecz nie dłużej?..

-- Czy się paniom spieszy?..

— Pilno nam zobaczyć pracę pańską — odezwała się Teca, zwracając głowę ku artyście.

— Nie nadzwyczajnego, za ledwo naznaczone... Ależ plamy ładne — szepnął do siebie — starsza śliczny numer. Dziś podmaluję — dokończył głośno—jutro, jeśli panie pozwolą, skończę..

— Pozwalamy!

— Dziękuję!..

— Jakiś malarz, z kąd on się tu wziął?—spytała Teca.

— Z Krakowa, jestem pewna.

— Tak nas niespodzianie złapał. Głos ma sympatyczny.

— Przystojny z niego mężczyzna -- oświadczyła Bronia.



— Zkąd pan idzie? — spytało głośno dziewczę.

-- Z Woli Radłowskiej.

-- A jeszcze dalej?

— Z Radłowa, Bochni, Podgórze, Krakowa...

— A dlaczego kierowałeś się tą drogą, a nie tyłoma innemi? — dodała Tacia.

— Bo ta tylko, wierzę w to, jest moją drogą, bo na tę wpakował mnie los.

Zamilkły, patrząc na siebie ździwione.

-- Co to będzie?—myślała Bronia.—Coś musi być, ale co?..

Głowę łamała.

— Oto jest!

Artysta raptem stanął (przed dziewczętami, podając im płótno.

— Zaledwo naznaczone, bo kto wie, czy jutro słońce będzie zachodzić tak na różowo, jak dziś.

Zdjął kapelusz i rzekł:

— Stefan Wierusz.

Dziewczęta powstały.

— Moja siostra — rzekła Bronia. — Teresa Wybranowska, nauczycielka z Jodłowa.

— Resztę wiem; domyśliłem się odrazu autorki tylko-co skończonej noweli. Widzicie, panie, los mnie dobrze prowadził... a wskazał mi drogę—zgadnijcie, panie, kto?

— Wielki pisarz!—zawołała Bronia.

— A dalej?

— Mieczysław!

— Ten sam! Powiedział mi: „Wepchnij się w klin Dunajca z Wisłą i szukaj...“ Nie szukałem, a znalazłem i zaraz na wstępie skarotowałem panie na pozę... Przepraszam.

Zdjął kapelusz, ujął rękę zarumienionej Teci i pocałował. Chciał pocałować również rękę Broni, lecz ta nie pozwoliła.

— Dlaczegoż — spytała — kazał panu szukać nas ten wielki pisarz.

— Znajdziesz talent — rzekł. — A że w ogólnej dziś robocie talent — to zjawisko, poszedłem go szukać. Cała moja podróż jest pogonią za zjawiskami. Znalazłem je... przepyszne — dodał cicho.

— Cóż pan myśli ze sobą zrobić? — rzuciła pytanie.

— Iść za zjawiskami. Im dłużej trwają, tem dla artysty przyjemniejsze.

— A zatem... — przerwała Teci.

— Odprowadzam panie do Jodłowa.

— Zjesz z nami wieczerzę.

— Z rozkoszą.

— I?

— Poszukam sobie kawał dachu nad głowę, a pod głowę wiązkę słomy.

— Radzimy panu iść prosto na plebanię. Proboszcz gościnny, a oddawna marzy o własnym portrecie.

— Wybornie — łańcuch gruby, sygnet z krwawnikiem, czub, albo łysina.

— Czub! — zawołała wesoło Bronia.

— Tem lepiej, uśmiech jowialny i ten boski nos proboszczowski... Nosy proboszczowskie, to moja *forsa*.

— Parafia radaby mieć w kościele św. Stanisława, swego patrona.

— I będzie go mieć! W malowaniu świętych Pańskich nie dam się wyprzedzić..

— Wybornie się składa, bo i my skorzystamy. Zawsze same, że aż czasem tęskno.

— Nurzać się w samotności boska rzecz, lecz młodość potrzebuje ludzi...

— Prawda — pochwyliła Bronia — tak nam zaciężył brak ludzi, że chcielibyśmy jechać do Krakowa. Lecz cóż, nie znamy nikogo...

— A Mieczysław, a redakcja, a sława?..

— Taka malutka—szepnęła Tacia.

— Aż tu niespodzianie los rzuca nam artystę!...

— Do malowania świętych Pańskich.

— Pejzaży przy zachodzącem słońcu i plam i sama niewiem jeszcze czego—mówiło dziewczę szczebiotliwie.

Wracali—słońce zniżało się, chowając się za chmury, które róż rozlewało na cały świat. Artysta odsunął się na parę kroków i zawołał:

— Róż przezroczysty obejmuje was; stoicie panie w różowym świetle, jak w jasnych płomieniach. I samotność ma swoje czary, nawet dla młodości, jeśli jest otoczona żywą naturą. Odczuwam to lepiej, niż panie, znękany tłokiem ludzkim i stęskniony za ciszą.

— To prawda — potwierdziła poważnie Tacia — żyćbym nie mogła bez natury i samotności, którą ona daje. Jeżeli jest we mnie coś, co poczciwi ludzie nazywają talentem — to mi go dały: natura swemi czarami i samotność swoją głębią.

Przestraszyła się głośnego wypowiedzenia własnych myśli.

Nastąpiła cisza; artysta wpatrywał się w regularne rysy, wyrzeźbione usta i głębię jej

czarnych oczu. Po długiej chwili przemówił wzruszony:

— Jeżeli w każdym człowieku siedzi zakłęta potęga, to tylko w samotności się objawia i staje przed nami... I ja, jako artysta, nie nawidzę tłumu i gdybym mógł — szepnął, urwał, spojrzął na Tecię, zarumienił się i oczy spuścił.

Spojrzenie, rumieniec i przysłonięcie oczu rzęsami spostrzegła Bronia, coś ją tknęło w sercu, chciała klasnąć w dłonie, Tecię ucałować, wyciągnąć ręce do artysty, lecz delikatność kobieca wstrzymała ją. Cofnęła się o parę kroków, szukając w zarumienionem przez słońce zbożu bławatów.

Artysta i Teczka mimowoli szli razem, droga się zewężała, zbliżali się do siebie, rozmawiali cicho, słów nie słyszała, lecz się jej zdawało, że byli wzruszeni.

— Stać! stać! — zawołała.

Teczka i artysta obejrzel się.

Przybiegła z bukietkiem bławatków i wręczyła go malarzowi.

Na podziękowanie — dygnęła — że idąc w klin Wisły i Dunajca nie zapomniał o Jodłowie.

— Umyślnie szedłem do Jodłowa — odpowiedział cicho.

— Tu się rozstajemy — szczebiotała. — Pan pójdiesz na lewo do proboszcza, a my na prawo do szkoły. Inaczej będzie wyglądało, gdy pan przyjdzie od proboszcza do nas. Nie wypada wedle praw Jodłowa, aby panny przyprowadzały „kawalirzów“. Lepiej będzie wi-

dziane jak „kawalirz“ z plebanii przyjedzie do panien.

— Powiem proboszczowi, że mam list z redakcyi, że go muszę dziś oddać.

— Wybornie!

— Czekaemy z wieczerzą — dodała Teczia.

— Mięsa nie będzie, mięso zbytek dla nauczycielek — dokończyła Bronia.

— Nienawidzę mięsa — zawołał. — Przeczuwam mleko,

— Wbród! pomyśl pan, dwie krowy!..

— Bogactwo — szepnął.

— Czekaemy!

— Urwę się z łańcucha, jeśli mnie proboszcz przykuje. Do widzenia — skłonił się, niknąc w różowo-szarym mroku.

Bronia ujęła Tecię w pól — poszły razem.

— Może to pierwszy dzień samotności naszej we trójkę — powiedziała cicho.

Teczia się nie odezwała, szły dalej w milczeniu.

— Mnie się zdaje, że to na wskroś artystyczna dusza.

I znowu dalej szły milczące.

Przed szkołą przybiegła do nich matka.

— Wiecie, nauczyciel z Polanki oświadczył się o Tecię. Mówię, że to los i na całą okolicę jedyna partya. Ma trochę grosza, gospodarstwo, pensję, cztery morgi odziedziczy gruntu i to — że porządny człowiek.

Dziewczęta nie były w stanie mówić i nie odpowiadały.

Matka pewna, że wzruszenie zamknęło im usta — nie nalegała.

W jadalnym pokoju czekał profesor w okularach, głupkowato uśmiechnięty, z odcieniem tryumfu i pewności siebie, pewny, że obie, a szczególnie Tęcia rzuci mu się z płaczem szczęścia na szyję... Czekał — nie rzucały się.

Dziewczęta poprawiły włosy przed lustrem, spojrzwały na siebie, porozumiały się wzrokiem i pobiegły na górę.

— Mówiła pani córce? — zapytał wchodzącej matki.

Matka położyła palec na usta i zbliżając się do nauczyciela szepnęła mu:

— Są wzruszone, bardzo wzruszone, pomyśl pan, na całe życie...

Nauczyciel pocałował matkę w rękę, matka pogłaskała go po twarzy, wróciła do kuchni, gdyż dzisiejszy wieczór, jako dzień oświadczeń, powrotu z jarmarku i kupna srokatej miał być obchodzony uroczystie.

— Dzieci, macie gościa z Krakowa — wpadł głos do małego pokoiku.

Artysta wobec matki i nauczyciela dobrze odegrał rolę wysłannika z redakcyi. Zaproszony na wieczerzę — został.

Za chwilę popłynęła rozmowa szeroko i wesoło, jak między młodzieżą pokrewnych artystem dusz. Rozprawiano specjalnie o literaturze i sztuce. Artysta deklamował całe ustępy Słowackiego i opowiadał o tajemnicach twórczenia.

Dziewczęta oczarowane słuchały, nauczyciel wytrzeszczał oczy, zdziwiony, oniemiał.

Matka, nie mogąc zapanować nad sobą, zapytała:

— A wieleż to można dostać za duży obraz?

— Jak gdzie i za jaki — odpowiedział — We Francyi i Anglii sto tysięcy franków, u nas trzy, lub cztery.

— Trzy — powtórzyła cicho, spojrzała na nauczyciela, wydał jej się brzydki, pospolity i ograniczony. — Ust nie otworzy — pomyślała, a uśmiecha się tak głupio. Zdaje mi się, że chciałam dziecko moje za tę lichą pensyę i cztery morgi gruntu sprzedać — westchnęła.

Dziewczęta, rozentuzymowane sztuką, rzucały artyście pytania naiwne, lecz zawsze serdeczne i głębokie.

Tecia zasluchana wpatrywała się w niego oczami niezmiernych głębi, w których jasne światelka świeciły.

Wzrok tego nie mógł znieść, lecz rad był, aby tak patrzyły przez życie całe.

Rozmarzony mówił dużo, serdecznie i wesoło...

Nauczyciel znudzony, a pewny swego, pożegnał się i odszedł. Przed szkołą czekał, myśląc, że matka wyjdzie do niego — nie wyszła. Została przy dzieciach. I ją kołysała poezya, a słowa młodego artysty, chociaż ich nie rozumiała — brały.

Po północy młodzieniec powstał, wyciągnął rękę na pożegnanie i cicho mówił:

— Wierzę mocno, że istnieje powinowactwo ducha, pokrewne dusze przyciągają się wzajemnie i tworzy się harmonia. Inaczej, czyżby warto było żyć... Dzień dzisiejszy jest wielkim dla mnie w odkrycia.

Pocalował rękę Teci, Broni serdecznie uści-  
snał.

Dziewczęta patrzyły za nim, póki w ciemno-  
ściach nie zniknął i padły sobie w objęcia. Te-  
cia cicho płakała.

— Na Łukaszową drogę — szepnęła — ciszy,  
gwiazd, samotności...

— Samotności — pochwyciła Bronia — ona daje  
natchnienia i sprowadza pokrewne dusze.

K O N I E C .

Dnia 29 listopada 1896 r.











260—

75/85

WYŻSZA SZKOŁA  
PEDAGOGICZNA W KIELCACH  
BIBLIOTEKA

173991

Biblioteka WSP Kielce



0121840